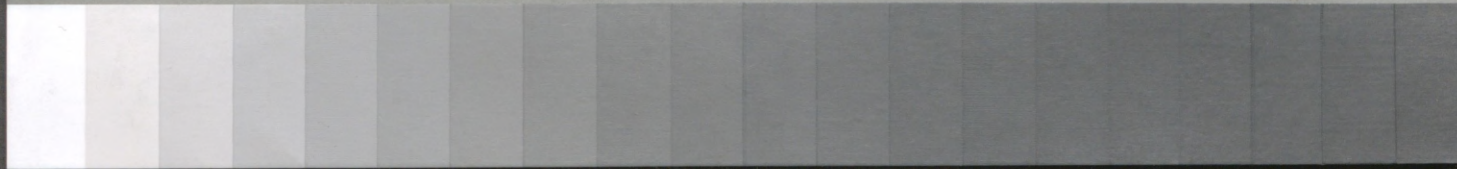


Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





**Biblioteka Wojskowa**

Korpusu Kadetów Nr. 2

Im. Marszałka Edwarda

Śmigłego-Rydza

15714/  
II

LUDWIK ŁAKOMY

# ORŁĘ Z HETMAŃSKIEGO GNIAZDA

Kadet KAROL CHODKIEWICZ

711



WARSZAWA

1938

---

WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-OŚWIATOWY

884-3: 8/355/.

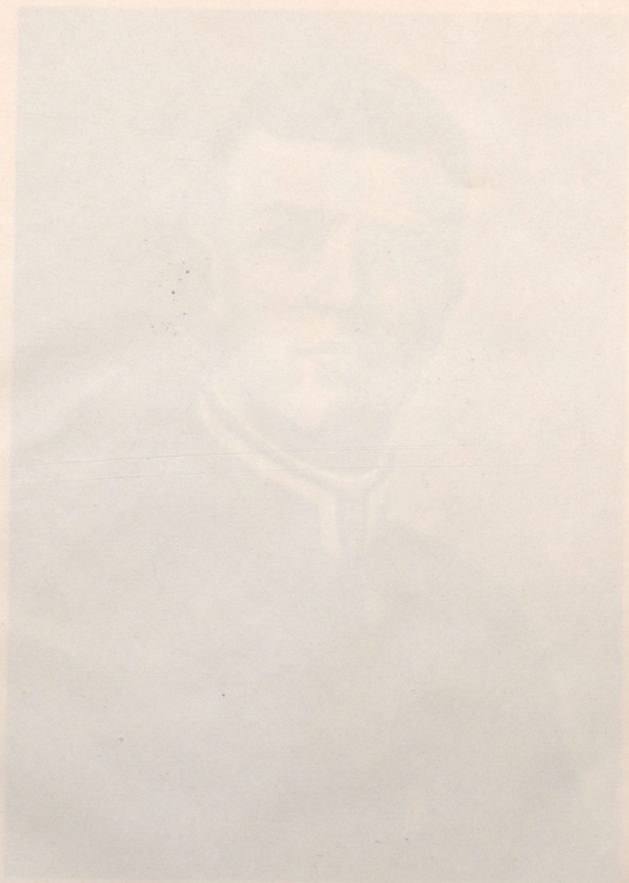
9696/4



Wszelkie prawa zastrzeżone.

15714/





*Mojemu synkowi, Jędrusiowi,  
poświęcam.*



Kadet kpr. Chodkiewicz Karol  
poległ w trzecim powstaniu górnośląskim pod Gogolinem dnia 21 maja 1921 roku,

## I.

Lwów przybrał odświętną szatę. Domy przystrojono flagami, ulice zgęstniały od tłumnych szpalerów ludzi, którzy oczekiwali na defiladę wojsk wypełniających śródmieście.

Okolo południa niebo, dotąd okryte siąpiącymi deszczem chmurami, nieco się wyjaśniło. Zza burzowych osłon wyjrzało słońce, różowymi palcami światła przecierając jakby zaspane, promienne swe oko.

I oto nagle na oddziały, tworzące na polu zbiórki równy czworobok, spadła komenda:

— Bacność!

Żołnierze znieruchomieli, zastygli w oczekiwaniu i zapanaowała cisza. Cisza nie martwa, ale pełna siły, podobna do ciszy przed burzą, która za chwilę może się objawić w świetle błyskawic i w huku gromów.

— Na ramię broń! Prezentuj broń! Na prawo patrz! — podał komendę dowódca całości i jak wielokrotne echo przeleciało wzdłuż szeregów powtórzone przez dowódców oddziałów hasło rozkazu.

Stukot obcasów, grzechot branych na ramię karabinów i zwrot głów były odpowiedzią; orkiestry uderzyły w przestwór triumfalnym hejnałem hymnu państwowego.

Na placu zjawiła się grupka jeźdźców z dowódcą okręgu na czele, do którego krótkim galopem podjechał prowadzący defiladę meldując stan liczebny rewii.

Błyszczący srebrem zygzaków i sznurami naramiennymi generał, po wysłuchaniu meldunku, zbliżał się kolejno do każdego oddziału, a uniósłszy się w strzemionach, witał salutując:

— Czołem żołnierze!

— Czołem panie generale! — huczał odzew szeregów, a generał jechał dalej, zatrzymując się wreszcie przed zastygłą w postawie zasadniczej, iskrzącą się srebrem granatową ścianą chłopiąt. Mgła rozczulenia zmatowiła mu oczy, głos stracił dotychczasowe oschłe, urzędowe brzmienie:

— Czołem kadeci!

— Czołem panie generale!

Generał patrzył z upodobaniem na kolumnę młodych żołnierzyków w zgrabnych mundurkach, z karabinkami na „prezentuj broń“, w tak doskonałym równaniu trzymanych, że tworzyły z daleka jakby prostopadłą ścianę błyszczącą słońcami czapek.

Wtem — o zgrozo! — jeden z kadetów, nie mogąc utrzymać w lewej dłoni karabina na „prezentuj broń“, słyszaneż to rzeczy: na „prezentuj broń!“ — poruszył się. Dowódca szkolnego batalionu aż pokraśniał od wstydu. Z pewnością, jak to mówią, musiało się w nim zatrzęść serce i wnętrze. Toteż gdy tylko generał się oddalił, gdy zacichły komendy: „baczność“, „na ramię broń“, „do nogi broń“, „spocznij!“ — wakrnął przez zęby:

— O czym to kadet Chodkiewicz myślał? Znów drgnąłeś przy prezentowaniu broni! Czy ty, chłopcze, wiesz nie będziesz roztargniony? Czy nie wiesz, że na „prezentuj“ trzeba stać jak mur? To doprawdy wstyd, żeby tak nie uważać!

Szczupły, zażenowany chłopiec, o mizernej, panieńskiej twarzyczce, rozjaśnionej łagodnym spojrzeniem du-

zych pocziwych oczu, wzdrygnął się i skrzywił usta jak do płaczu.

— On tak zawsze, panie majorze! — ozwał się śniady dryblas, wpierając zuchwały, zawadiacki wzrok w zaczerwienionego po uszy winowajcę. — Nie ma ani jednej musztry, żeby nam coś nie popsuł.

— Zakrzewski, nie gębuj! — zgromił dryblasa major, a widząc, że czołowy pułk rozwija się w kolumnę czwórkową, skomenderował:

— Baczność! Na ramię broń! Czwórki w prawo zwrot! Kierunek: do defilady marsz!...

Jednolity, zwarty mur rozpekł się w oka mgnieniu w szyk marszowy, prawe ręce rzuciły się w lewo, w prawo, w lewo, w prawo, a komiśne buty zatupotały miarowo, waląc w granitowy bruk z taką siłą, jakby go na proch zetrzeć miały.

Równocześnie bęben orkiestry huknął swe: „bum, bum-bum, bum-bum“ i z lśniących gardzieli trąb poniosła się pełna męskiej tężyzny melodia „Pierwszej Brygady“. Po obu stronach drogi, utrzymywanej przez szpalery młodziędzy szkolnej, rwał potok ludzki, w którym przeważały roześmiane, uroczę, w jasnych sukniach lwowianki, biegnące chodnikiem, coraz wspinające się na palce, szepczące coś do siebie i strzelające oczyma na maszerujących.

Tymczasem przed generalicją i reprezentantami władz, stojącymi na stopniach pomnika Mickiewicza, w pośrodku Mariackiego placu, defilowały hyrne i wielomozżne, jakby cały świat przewędrowały, bataliony piechoty, wspaniale prezentujące się szwadrony ułanów jazłowieckich z żółtymi chorągiewkami na lancach, dywizyjny potrząsających łańcuchami i szczękających jaszczami armat. Za nimi rozkładaną ścieżyną żelaznego pasa biegly olbrzymie czołgi, podobne do potwornych żółwi. Trajkotały ukrytymi silnikami, ślepiąły otworami kopulastych wieżyczek — iście dziwaczne, baśniowe poczwary.

Pierwszy to raz w takim imponującym zespole prezentowało się lwowianom młode, a już sławą wojenną opromione wojsko polskie. Z dumą tedy i podziwem przyglądały jej się rzesze, delektując się szczękiem broni i głuchym tupotem nóg tylu tysięcy żołnierstwa, oddzwaniałym jękliliwie przez okienne szyby.

Za czołgami wychyliła się z za Bernardyńskiego kościółka nowa osobliwość, nie oglądana jeszcze dotąd we Lwowie — Korpus Kadetów, zaledwie przed kilku tygodniami przeniesiony tu z Łobzowa pod Krakowem.

Chłopcy, w wieku nie więcej nad osiemnaście lat, szli, wybijając twardym krokiem żołnierski rytm, a obok przewalał się tłum ciekawych, potrącających się, przewracających, rozbijających kolana i nosy, byle tylko nie stracić z oczu granatowo-srebrnej kolumny, stębnowanej dwoma szlakami prawie dziecięcych twarzy i rąk, podtrzymujących oparte na ramionach karabiny.

Szli dziarsko, budząc zachwyt swym wzorowym wyglądem, a że wielu z nich, mimo młodzieńczego wieku było „starymi żołnierzami“, o czym świadczyły liczne odznaczenia na ich piersiach, tedy lwowianie, dotąd w ciszy i skupieniu podziwiający wojsko, nie mogli się już powstrzymać, oklaskami i głośnymi okrzykami witając marsowe orlęta:

— Niech żyją kadeci! Niech żyje młodzież polska!

Wołaniom nie było końca, a kadeci szli wśród tych wiwatów niby fala jednolita, niezmienna, żelazna — na pozór tak do siebie podobni, że oko gubiło się, nie chwytając różnicy w głowach jednako wzniesionych, w ustach jednako twardo zaciśniętych.

Gdy już byli niedaleko pomnika, padła komenda:

— Równy krok! Na prawo patrz!

Oczy z pod daszków czapek błysnęły zimnym lśnieniem. Nogi poczęły szukać rytmu — wnet go znalazły. Miarowo uderzył żelazny łoskot chodu. Karabinki przy-

cisnęły się do ładownic, rękawy rzuciły się w skos, jakby kosiły jakieś niewidzialne łąki lub samo powietrze.

Właśnie jadący na białym koniu major salutował szablą przyjmujących defiladę, gdy wtem w trzeciej czwórce pierwszej kompanii ktoś ze zgрозą pisnął:

— O rany julek, Chodkiewicz! Jak ty idziesz? Zmien nogę!

Zgromiony chłopak zachybotał naprzód i w tył zmieniając nogę. Rzeczywiście, wiecznie o czymś zamyślony, zmylił krok w marszu.

— Poczekaaj, dziadu! Już ja cię nauczę! — ozwał się znów pełen wściekłości szept, co usłyszawszy Chodkiewicz skrzywił usta w żalosalną podkówkę.

W tejże chwili na granatowych żołnierzyków posypały się kwiaty — zaledwie rozkwitłe bzy, a zsunawszy się po lufach karabinów padły pod nogi. Kadeci wyprężyli się jeszcze bardziej, waląc obcasami w bruk, aż pięty bolały.

Po zakończeniu defilady baon ruszył ku widocznemu z dala na wzgórzach stryjskich, w pięknej dzielnicy will i ogrodów, szeregowi okazałych budynków, wzniesionych w charakterystycznym stylu koszarowego empiru.

To siedziba Korpusu Kadetów, która już zdążyła zdobyć sobie chlubne miano „Reduty Polskości“, przebywając chrzest bojowy w listopadzie 1918 roku w walkach z Ukraińcami i wychodząc z nich cało, ale jak zasłużony żołnierz nie bez blizn — szczerb i dziur w murach, pozostałych po celnych pociskach nieprzyjacielskich.

W czasie powrotu na nieszczęsnego Chodkiewicza spadł grad drwin i wymyślań.

— A to ci trąba! Mało mu było, że na „prezentuj“ machał karabinem jak miotłą, to jeszcze przy defiladzie nogi se pomieniał.

— Ja bym mu dał kij, a nie karabin!

— Lepiej siatkę na motyle.

— Do chrzanu z takim kadetem!  
— I po co się to płacze w Korpusie?  
— Jak to po co? Generałem chce zostać!  
— Co? Ten lalusz, kukła z marymonckiej mąki — generałem?

— Taki cywil zatracony!

Chodkiewicz szedł milcząc. Tylko czasem przygarbiał się, skurczywszy ramiona, jakby chciał osłonić się przed gradem pocisków, a na jego szczupłą panieńską twarzyczkę występowały coraz silniejsze rumieńce.

— Czemu się go czepiacie, jak pijany płotu? — ozwał się ktoś karcąco. — Czy to żaden z was nigdy się nie pomylił?

— Aaa, naturalnie!... Toczyłosio żałuje lalusia.

— Bo sam wygląda, jak półtora nieszczęścia. Przyglądajcie się tym jego, jak u nieboszczyka, stale przerażonym oczom!

— Pewnie, że takie smutne oczy, jakie ma Toczyłowski, to dobre, gdy kogoś brzuch boli.

— Stulcie jadaczki! Nie wiecie, że on musi bronić lalusia, bo dostaje za to „ściągę“.

— Och, ty pętaku! A któż to w zimie odrabiał za ciebie zadania matematyczne?

— Myślisz, że się zaprę? Chodkiewicz odrabiał, ale ja mu za to wyciągałem tuszem smarowidła geometryczne.

— Które by on sobie sam doskonale zrobił. Ja twierdzę, że Chodkiewicz jest morus chłop, a że czasem się zagapi, to cóż. Niejednemu z nas to się zdarza. Przy tym powiedzcie, komu on nie pomógł! Ileż to razy pocił się nad tymi głupimi równaniami nie tylko za mnie oraz innych, ale nawet za tego kryminalistę Zakrzewskiego, co się dziś do niego przypiął jak pijawka.

— Ty, Czekałiński, masz zawsze dziwny sposób argumentacji — zaczął niepewnie, z innej beczki, Zakrzew-

ski, przypominając sobie, że na jutro czeka nań wypracowanie z polskiego, w którym mu może pomóc obrońca lalusia a korpusowy „poetnik”. — Przecież ja tak znów na niego nie nalatuję, tylko myślę, że on by lepiej pasował do jakiejś melancholijnej facetki z głównej alei parku stryjskiego, a nie do wojska. Mógłby z nią się posiedzieć na ławce, zwierzać się z trawiącej tkliwe serca pustki lub gadać o filozofii i rozmyślać o niebieskich migdałkach, podczas gdy w wojsku zawsze z nim będzie skaranie Pańskie. Bo że jest zatracony cywil, to wszyscy przyznacie, nie? A już Kamiński to jest taki na niego zły, że aż wargi gryzie.

— Ech, głupstwa pleciesz! — odparł krępy chłopak, obwieszony odznaczeniami jak po kotylionie. — Ani mi w głowie złość na Chodkiewicza, bo właśnie myślę o poległym koledze, z którym razem tą ulicą łaziliśmy do budy.

— Cóż to za kolega? Jak się nazywa? — posypały się pytania.

Kamiński zwiądnął, twarz mu poszarzała, po czym, jakby z niechęcią, odparł:

— Jurek Bitschan.

Łzy mu stanęły w oczach, więc je szybko i wstydliwie otarł.

Szli milcząc długą chwilę, aż wreszcie Czekański cicho zagadnął:

— Tyś był razem z nim, prawda? Tyś widział, jak on zginął?

— Widziałem...

— Mój złoty, mój kochany! Opowiesz nam o nim po południu, co?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo już wmaszerowali przed szkołę. Słyszac komendę uczynili jeszcze jeden krok i stanawszy zdrętwieli. Plac zaległo milczenie, jakby na nim nie było żywego człowieka. Nowy rozkaz, ciśnięty w zwartą masę, rozpruł kolumnę na dwa długie szeregi. Jeszcze jedna komenda, trzask przy nogach i za chwilę

kadeci weszli do budynku, gdzie po oczyszczeniu broni i umyciu się mieli pójść na obiad.

Dobrze już po południu, korzystając z rekreacji świątecznej, paczka kadetów zaszyła się w gąszczu leszczynowe za szpitalem i zaczęła Kamińskiego molestować, by opowiadał o Bitschanie.

Była tu sama arystokracja korpusowa. Pszczółkowski z napoleońskim kosmykiem nad czołem, poeta Czekański z oczyma myśliciela a ustami dziecka, nierozdzielni awanturnicy Wielewski z Zakrzewskim, którzy pół życia w szkole spędzali w „pace“ na zmianę z sobą, sztywny jak gdyby kij połknął kadet — podchorąży Żytkiewicz, powolny Lipowski z głową jak bania, perkaty Różycki, zawsze smutno uśmiechnięty Toczyłowski, istic herkulesowej budowy Zaszczyński, czarny jak kruk Szilagay, łazik Berberiusz, chudeusz i wiotki jak łydyga Lityński, panienka i lalusz Chodkiewicz, zwany także Karolinką, zabiegliwy Kasperski oraz odznaczony krzyżem „virtuti“ Kossakowski.

Chłopcy ci już z niejednego pieca chleb jedli i z niejednej „budy“ zostali wylani, a którym, poza Chodkiewiczem, niedobrze się było sprzeciwić. Była to wszystko „stara wiara“, którą od dziecka wychowała wojna, której nie był dziwny ani głód i chłód, nie obcy widok ran i trupów, a nieodłączne towarzyszkę żołnierza w polu — wszy, dobrze każdego z nich nagryzły.

Paczka „arystokratów“ niemal każdą rekreację spędzała na pogwarkach o wojnie. Nie mówiono podniosłe i patetycznie, nie rznięto sieczki komunaków, lecz ideałem wzajemnych opowieści był zazwyczaj żołnierski obowiązek; największy zachwyt budziły siła i spryt, najbardziej wzruszały historie bohaterskich zgonów.

Zgony te były całkiem inne, niż je opisywali siedzący przy biurkach, a nie znający wojny literaci, z których arystokracja korpusowa drwiła, ile wlaźło.

— Wyciągniesz kopyta i wyrzypasz juchę — drwił często Zakrzewski po przeczytaniu takiej opowieści wojennej — a potem ci napiszą, że „umierał z uśmiechem na ustach“. Niechby taki gryziپیۆرک spróbował się uśmiechnąć, jak mu granat jelita wypruje!

— Albo szrapnel skórę z pleców obierze, jak mnie — dodawał Zaszczynski i wnet każdy kolejno wtrącał swoje trzy grosze na temat przygód wojennych.

Dziś jednak wszyscy obsiedli Kamińskiego. Był on i w obronie Lwowa, i w wyprawie na Wilno brał udział, nawet do Dźwińska z armią Śmigłego zabłądził, by z kolei Ukrainę własnymi nogami (trochę też i podwodą) przemierzyć aż do samego Kijowa. Tam ranny, po długim leczeniu w szpitalu dostał się do Korpusu.

Znali już chyba wszystkie epizody jego żołnierskiej włóczęgi — o Bitschanie jednak nigdy im dotąd nie opowiadał.

Teraz dopiero, nagabywany niecierpliwie, zaczął. Początkowo trochę się zająkiwał, wodząc oczyma po zoranim przez granaty, zabronowanym przez szrapnele cmentarzu Stryjskim. Koledzy, skupieni, oparci o siebie ramionami, pilnie słuchali. Czekaliński był najbardziej podniecony. Prawie że pochłaniał słowa opowiadającego, a oczy błyszczały mu jak gwiazdy. Niemniej zaciekawiona była reszta. Różycki ślinił wargi i potakiwał. Berberiusz majstrował coś koło owijaczy. Nawet mały Kasperski wciągnął szyję w ramiona i siedział cicho jak mysz. Tylko Chodkiewicz, zda się, nie słuchał, lecz z twarzą w rękach gapił się gdzieś przymglonymi oczyma.

A Kamiński opowiadał. Wywołana zza grobu stawała na jawie przed kadetami sylwetka męznego chłopięcia, co to, czternaście lat ledwie mając, w pamiętnych dniach listopada 1918 roku padło śmiercią żołnierską na cmentarzu Łyczakowskim.

— ...Wyszliśmy z budy, pamiętam, jak dziś, w środę po południu, dwudziestego listopada, a Jurek daje mi

jakiś list i powiada: „Masz, przeczytaj i jeśliś dobry przyjaciel, oddaj to mojemu ojcu“... Ta na głowę upadł... myśle sobie i biorę list i czytam: „Kochany Tatusiu. Idę dzisiaj zameldować się do wojska. Chcę okazać, że znajdę tyle sił, by służyć i wytrzymać. Obowiązkiem moim jest iść, gdy mam dość sił, bo braknie ciągle ludzi dla wyswobodzenia Lwowa. Jerzy“... Przeczytałem i nic. A on patrzy na mnie tymi ślepkami, co mu się jarzą jak u kota... „Oddasz?“ — pyta, a ja mu na to: Ta pieska twoja kapota, co ci się zdaje, że ty pójdziesz, ja zaś mam zostać? Nie, brachu, pójdziem, ale obaj... Ta poszłem z nim...

— Toś morus chłop — zauważył sentencjonalnie Żytkiewicz.

— Ta poszliśmy — ciągnął dalej Kamiński, a twarz skrzywił mu melancholijny półuśmiech — i przyjęli nas do służby na moście kulparkowskim. Raz, dwa, pokazali nam karabin... wiecie?... niby jak się ładuje i strzela, zaś pod wieczór porucznik Petri poprowadził nas drogą okrężną na Łyczaków. Mielim atakować... Jurka nie chciał wziąć, że to przecież taki mikrus, ale on się uparł i co mu zrobisz... Poszedł. Razem ze mną. Idziem... Noc ciemna, że choć oko wykol... Nagle strzały, krzyki: „Lachy! Lachy!“

Urwał, zdjął czapkę, lewą dłonią jął pocierać czoło. Twarz miał białą jak papier, oczy przymknięte. Po chwili z pewnym wysiłkiem mówił urywanymi, krótkimi zdaniami:

— A my biegiem, biegiem... Jurek koło mnie... Dopadliśmy cmentarza... Tam wre bój... Garstkę naszych ze wszystkich stron otoczyli Ukraińcy... I nas już spostrzegli... Wtedy: ta — ta — ta — ta!!! tarach — salwą — tarach!... Nasi przypadli do ziemi, tylko Jurek, na nic nie zważając, wrzeszczy: „Bić wroga, bić“... Jezus, Maria, jak się nasze bractwo nie rzuci!...

Na równe nogi Kamiński się zerwał:

— „Bić wroga, bić“... — drze się każdy i przez cmentarz, po grobach, między drzewami, a Ukra-

inicy grzeją z maszynek, że niech ręka Boska bro-  
ni... Jakoś dopadliśmy na wprost koszar, położonych  
przy ulicy świętego Piotra... A tu zewsząd: piu-iu, piu-iu,  
piu-iu i ta — ta — ta!... „Spasajtes!“ — drą się Ukraińcy,  
gdy wtem słyszę, że bęc ktoś koło mnie!... Padam i ja, przy-  
glądam się—Kamiński siadł ciężko i zakrywszy dłońmi oczy  
cedził przez zęby: — O rany julek!... przecież to Bitschan  
leży za pomnikiem... Serce mi tłucze w piersi jak zwario-  
wane... Jerzyku, Jerzyku!... powtarzam, a on leży, trafio-  
ny kulami z dwu stron, w jedną nogę i drugą...  
Wołam: sanitariusz! sanitariusz!... Ta pokazał się jakiś, nim  
jednak podbiegł, musiał się cofnąć, bo mu kula strzaskała  
ramię... Za chwilę odwrót... Jurek został i zmarł tam  
z upływu krwi... No i tak, no i tak to było—mówił, zapa-  
trzony gdzieś przed siebie, nie wiedząc, jak zakończy swą  
opowieść.

Najłżejszy szmer nie zmaćcił ciszy, jaka zapanowała  
po przebrzmiałych słowach Kamińskiego. Kadeci siedzie-  
li chmurnie, zgarbieni, niemal dech tając w piersiach  
i sporo czasu minęło, nim Pszczółkowski rzekł:

— Istotnie, Bitschan zginął tak, jak powinien ginąć  
prawy żołnierz.

— Jak powinien zginąć każdy kadet — dorzucił głu-  
cho Czekaliński.

Potrząsnął kilkakroć głową, jakby potwierdzając to,  
co powiedział i z nagłą wyprostował się, wymuskulił, po-  
czym usta jego, okraszone zimnym, a osłaniającym głę-  
bokie uniesienie uśmiechem, zaczęły skandować:

„Nicbym więcej nie chciał, o mój Boże jedyny,  
Tylko skroń mą ozdobić w mężnych dzieł wawrzyny;  
Pierś osłonić pawężą rycerskiego męstwa,  
Mieczem chwały się pieścić i zbroją zwycięstwa.  
Miast lat długich i szarych, pędzonych w spokoju,  
Zwól mi, Wodzu Najwyższy, polec w krwawym boju;  
W krwawym boju dla Polski, jak matki swej dziecię  
Życie swoje masz złożyć ty, polski kadecie.



Bo kadet winien polec dla najwyższej sprawy,  
Z zaszczytną raną w piersiach, co wiedzie do sławy,  
Z ręki wroga na zielonej, na trawy kobiercu,  
Ze słowem Bożym na ustach i radością w sercu“.

Strofy te, jak kij wetknięty w mrowisko, poruszyły ukryte i zawsze żywe, wprost palące uczucie tęsknoty za przygodą wojenną, za chłodem i głodem, za tymi marszami gdzieś przed siebie w ślad za pierzchającym wrogiem, za wspaniałym rapsodem żołnierskiego żywota.

Zakrzewski począł cichutko przez zęby wygwizdywać leguńską piosenkę:

Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani,

Że za tobą idą, że za tobą idą

Chłopcy malowani...

— Eh! — warknął, zrywając się z miejsca — szlag by to trafił! Ledwieś, człowiecze, zakosztował żołnierki, a już ci ją z przed nosa sprzątnięto! A przecież...

Przerwał mu tupot nóg biegnących szybko po zakrytej krzewami ścieżce. Po chwili ukazał się kadet Mieszkowski, sławny z flirtów elegant, który dziś dostał przepustkę do miasta i mimo wczesnej pory już powrócił.

Jego rychły powrót był tak czymś niezwykłym, że wlepiły się weń wszystkie oczy, na wszystkich ustach widniało niecierpliwe pytanie:

— Co się stało?

Lecz on, oddychając ciężko, zatrzymał się przed kolegami i chwilę, zwiśnię na swych ustach ciekawość wstrzymawszy, pisnął z triumfem:

— Wy tu siedzicie, a tymczasem nasi biją się z Niemcami.

Ośłupieli, jakby w nich strzelił piorun z jasnego nieba. Z oczyma wlepionymi w Mieszkowskiego czekali bliższych wyjaśnień. On jednak się nie spieszył i dopiero gdy Zakrzewski warknął nań z góry, wyjął z kieszeni zadrukowaną płachtę papieru mówiąc: — Macie, czytajcie!

Dziw, że gazety nie podarli, tak ją sobie nawzajem wydzielali, lecz wreszcie Żytkiewiczowi udało się zawładnąć zadrukowanym arkuszem, więc rozwinąwszy go, czytał surowym, do głębi przejętym głosem:

— „Dodatek nadzwyczajny. P. A. T. donosi z Warszawy: „Wskutek uchwały Komisji Międzysojuszniczej w Opolu, oddającej Polsce jedynie część okręgu rybnickiego i katowickiego, bez miast i części przemysłowych, wybuchło na Górnym Śląsku nowe powstanie“.

Wiadomość była tak niezwykła, że jeden poglądał bezradnie na drugiego. W każdym razie wybuch powstania na Górnym Śląsku wszystkich zelektryzował. Jak zresztą cały Lwów w owym czasie, tak i kadeci zajmowali się pilnie wypadkami politycznymi, a przebieg sprawy śląskiej i plebiscytu był im znany we wszystkich szczegółach i odczuwany przez nich bardzo gorąco.

Chociaż bowiem cały Lwi gród, jako miasto kresowe, bardzo się przejmował i uczestniczył we wszystkich aktach odrodzenia i zjednoczenia ojczyzny, to przede wszystkim kresy zachodnie były mu bliskie i drogie, podobnie jak własne, tak niedawno strugami krwi przelanej okupione oraz z Polską na wieki już złączone.

Ze Lwowa pochodzili liczni emisariusze, tak mężczyźni, jak i kobiety, których stałą troską był los oraz dobro ludności polskiej na Śląsku. Gdy nadszedł okres plebiscytu, liczne osoby z zapałem poświęciły się sprawie narodowej, a wiele, już od lat i miesięcy, znajdowało się na starej ziemi Piastów biorąc gorący udział w pracach i walkach o tę dzielnicę Polski.

Kadetom to wszystko było znane, bliskie i drogie, więc też nic dziwnego, że tak ich oszołomiła wiadomość o wybuchu powstania śląskiego.

Kto wie, jak długo by nad tym rozmyślali, gdyby nie ocucił ich dzwonek wzywający na kolację. Poszli śpiesznie do jadalni i tam, przepychając się w drzwiach,

Zakrzewski tak silnie pchnął Chodkiewicza, że łaluś zatoczył się na stół, a wyrznuwszy weń głowę, rozbił ją aż do krwi i stracił przytomność.

Powstał hałas, zamieszanie, przybiegł dowódca kompanii, za nim lekarz i złożyli bladego oraz skrwawionego Chodkiewicza na ławce. Wprędce ocucono go, obandażowano mu głowę i poprowadzono do sypialni, bo chłopak za nic w świecie nie chciał się udać do izby chorych.

Zakrzewski, zwiesiwszy głowę, stał przy drzwiach. Nie poruszył się nawet wówczas, gdy do jadalni wszedł major, dowódca batalionu szkolnego. Łzy kapały z oczu chłopaka, a na pytanie, dlaczego to uczynił, wyjąkał:

— Panie majorze, melduję posłusznie, że to nieumyślnie.

Jednak major był innego mniemania, więc rzekł zmarszczywszy brwi:

— Powinienem natychmiast zwolnić cię z Korpusu, gdyż twoje zachowanie jest tego rodzaju, że wątpię, abyś kiedykolwiek mógł zostać oficerem. Jeśli tego nie uczynię, to jedynie dlatego, że szkoda mi roku szkolnego, który byś utracił. Tu nie wolno kolegów prześladować. A dobrze zapamiętałem, jak dziś, na rewii, dokuczałeś Chodkiewiczowi. Zarówno bicie jak i dokuczanie jest w Korpusie niedopuszczalne. I oświadczam tu wobec wszystkich, że darowuję ci po raz ostatni. Jeśli jeszcze raz przekroczyś regulamin szkolny, zostaniesz nieodwołalnie zwolniony. Teraz idź i proś Chodkiewicza, aby ci przebaczył.

Zakrzewski sprężył się słuźbiście, stuknął obcasami i, okręciwszy się na pięcie, ruszył ku sypialni. Twarz mu pociemniała, skurczyła się, niemal do paszczy wilczej stała się podobna. Gęste brwi to schodziły się, to rozbiegały, nozdrza i wargi drgały spazmatycznie. Kroczył machinalnie przez korytarz i, doszedłszy do sypialni, zatrzymał się. Najsampierw spojrzał przez dziurkę od klucza. Zduł się.

W śmiesznie długiej, nocnej koszuli, z obandażowaną głową, Chodkiewicz klęczał przy łóżku. Oczy miał przymknięte, twarz bardziej jeszcze niż zazwyczaj bladą, usta szeptały półgłosem:

— O Boże, mój kochany Boże! Daj, abym mógł tam pójść, daj...

— Ten ma zdrowie. I to tak po pół godziny co wieczór — mruknął pod nosem Zakrzewski. — Stanowczo, powinien zostać kapłanem.

Przypomniawszy sobie, że i on przecież w domu, poza pacierzem, odmawianym bezmyślnie, potrafił się również tak serdecznie modlić.

W domu... Co za stara historia! Było to jeszcze przed inwazją bolszewicką. Na froncie odwyka się od modlitwy, mimo że każdy żołnierz, który choć raz naprawdę zajrzał śmierci w oczy, jest w głębi ducha wierzący. Ale modli się rzadko i nigdy tak jak w domu.

Dom... Dziecinny pokój, pełen dobrych cieni. W rogu na piecu wyciąga ramiona Anioł Stróż. Po suficie suną cichutko światła. Spoza okien płyną ściszone odgłosy wielkiego miasta: dźwięk dzwonków, ryk klaksonów samochodowych i szum przewalających się po ulicach gromad ludzkich.

Och, jak strasznie daleko do domu!

Zda się, że Zakrzewski zapomniał, po co tu przyszedł. Widok modlącego się Chodkiewicza przysłonił mu dotychczasowe przeżycia, dobył z podglebia serca inne, jakies czułe wspomnienia.

Jeszcze raz spojrzawszy przez dziurkę. Jeszcze raz usłyszał dygocący od wzruszenia głos kolegi. Zdumiał się jeszcze bardziej, bo oto w ciszy sypialni żarliwą prośbą brzmiały słowa:

— Tak jak mój pradziad, tak jak mój pradziad, niech i ja mam to szczęście! Boże, dobry Boże!... Pozwól, żebym mógł pójść na powstanie, spraw to, spraw!... A jeśli mogę

Cię prosić o najwyższą łaskę, daj, abym mógł tak zakończyć żywot, jak mój pradziad...

— To prawda, to prawda! — szepnął olśniony Zakrzewski. Że mi to wcześniej nie przyszło do głowy... Prawda, trzeba iść na powstanie!...

Nie chcąc koledze przeszkadzać w modlitwie cicho odszedł od drzwi.

— Cóż to za pradziad? — głowił się przez czas kolacji, ani dbając, że koledzy odeń się odsunęli.

I nagle przypomniał sobie. Nie wiedzieć jak — na usta nawinęły się strofy z Niemcewiczowskich „Śpiewów historycznych“:

„Z trzech części świata zebrał Osman dumny

Liczne szyki pod Chocimem,

Juczne wielbłądy, działa i lud tłumny

Posępnym ćmiły się dymem.

Waleczny hetman w bitwach zapalczywych

Na czele swoich naciera,

Dowodzi, walczy, w wycieczkach szczęśliwych

Przeważne tłumy odpiera.

Próżno Karakas przykładem i głosem

Do rzezi hordy zagrzewa,

Lecz sam, śmiertelnym ugodzony ciosem,

Bluznierczą duszę wyziewa.

Ugięty Osman przez okropne straty,

Gdy już umowy zawiera,

Chodkiewicz złaman trudami i laty

Do namiotu wodze zbiera.

Stał hetman polny i rotmistrze dzielne,

Gdy z łoża wódz się podnosi;

Każdy, już widząc znaki śmiertelne,

Łzę cichą jagody rosi.

Wódz się odzywa: „Kochani rodacy,

W zbyt ciężkiej rzucam was chwili,

Lecz się nie trwożę: jesteście Polacy,

Walczecie, jakeście walczyli.

Niech w was Ojczyzny pamięć nie ustaje“.

Tu wodzów tuli do łona:

Lubomirskiemu buławę oddaje,

Ściskam za rękę i kona“.

— — — — —

Oficer służbowy dawno już przebiegł kadeckie sypialnie. Jedynie sapot oddechów mącił ciszę nocy. Śpiący twardo Chodkiewicz o jakiejś porze poczuł, że go ktoś delikatnie trąca.

— Kto to? — spytał sennym głosem.

— To ja, Zakrzewski — usłyszał przyciszony szept.

— Karolku daruj mi; wiesz, ja to przecież nieumyślnie, naprawdę nieumyślnie!...

— Wiem o tym i wcale do ciebie nie mam żalu.

— Jakiś ty dobry! A ja ci tak dokuczałem...

— Miałeś rację. Wszak zmyliłem krok przy defiladzie, a jeszcze przedtem rzeczywiście, na „prezentuj“ — trzymałem karabin jak miotłę.

— Ee, tak znów źle nie trzymałeś, tylko „Andrejka“ zawsze szuka w całym dziury. Wiesz, co on mi powiedział zaraz potem, jak skaleczyłeś głowę?

— No?

— Że za najmniejsze przekroczenie zostanę wydany z Korpusu. Że ze mnie w przyszłości nie będzie dobry oficer. A to przecież nieprawda, bo ja poza wojskiem świata nie widzę. Zresztą pomyśl, gdyby mnie wylali, mój stary zamartwiłby się na śmierć. Powiedział, że gdy się w Korpusie nie utrzymam, pośle mnie do terminu na szewca.

— Nie bój się, nie wyleją cię. „Andrejka“ tylko udaje srogięgo, ale w istocie jesteśmy dlań oczkiem w głowie. Do ciebie zaś nie tylko, że nie żywi niechęci, ale cię lubi. Sam słyszałem, jak mówił: „Że chłopak jest łobuz, to nie szkodzi. Z takich wyrastają najlepsi żołnierze“.

— Tak mówił? Nie bujasz?

— Jak ojca kocham, mówił!

Chwilę milczeli.

— Karol — Zakrzewski znów się odezwał, a jego głos był zmieszany, drżący, pokorny. — Ten hetman Chodkiewicz, zwycięzca z pod Kircholmu, co zmarł pod Chocimiem, to twój pradziad, prawda?

— Prawda, Zygmusiu.

— A... — Zakrzewski się zawahał — czy ty... czy ty dziś modliłeś się, abyś mógł iść na powstanie?

— Skąd wiesz? — niemal głośno wykrzyknął Chodkiewicz.

— Cicho bądź, bo nas szef usłyszy. A wiem stąd, że akurat szedłem do sypialni przeprosić cię, lecz widząc, że się modlisz, nie chciałem ci przeszkadzać.

I znów zapanowało milczenie.

— Ależ ty zmarzniesz! — zaniepokoił się Chodkiewicz. — Włóż do mego łóżka, to opowiem ci, co wymyśliłem. Tylko żebyś mnie nie zdradził!

— Zwariowałeś! Sam się głowię nad tym, jakby tu drapnąć na Śląsk, a ty mi o zdradzie mówisz.

— To byczo. Wiesz, ja mam złoty medalion. Żeby go tak sprzedać, byłoby za co wykupić bilety aż do samej granicy.

— Słuchaj — rzekł zgorszony Zakrzewski — nie gniewaj się, ale tak głupio gadasz jak oferma. Po cóż miałbyś sprzedawać medalion? Na bilety? Dobrze sobie! Gdy pojedziemy, to pojedziemy na gapę.

— Jakoś to nie wypada. Kadeci i na gapę?

— Frajer jesteś! Nie będę się bawił w to, co wypada i nie wypada, gdy Śląsk potrzebuje pomocy.

Na korytarzu zatętniały uderzenia podkutych obcasów.

— No, ja muszę wiać — pisaął Zakrzewski — bo gdyby mię tak oficer służbowy zdybał, jużby „Andrejka“ miał powód do wylania mnie. Jutro pogadamy. Dobranoc, nie gniewaj się.

— Dobranoc, Zygmusiu. Wcale się na ciebie nie gniewam.

## II.

Punktualnie o godzinie szóstej sygnał grany przez trębacza obwieścił pobudkę. Jak echo, we wszystkich sypialniach kadeckich, rozległ się głos służbowych:

— Pobudka! Pobudka! Wstać!...

Zaspani kadeci zrywali się z łóżek, a wciągnawszy spodnie słali łóżka, chwyтали ręczniki i mydło, dążąc do umywalni.

Także Chodkiewicz, choć go głowa setnie bolała, zwłókł się z łóżka. Sanitariusz przyniósł mu ciepłej wody, przewinął ranę, która jako powierzchowna już się zasklepiła i gdy kadeci wrócili do sypialni, aby dokończyć ubrania się, Chodkiewicz kończył się obuwać.

Wyglądał mizernie. Po rozmowie z Zakrzewskim nie mógł wcale zasnąć, rozmyślając, jakby zrealizować swój projekt wyjazdu na powstanie.

Tymczasem Zakrzewski, snąc zapomniawszy o wypadkach dnia poprzedniego i ostrzeżeniu majora, już się awanturował.

— Tyle ci razy, ofermo, mówiłem — huczał na Toczyłowskiego — żebyś porządnie układał na krześle kostkę ubraniową, a ty zawsze po swojemu! Będiesz dziś miał za swoje! W nocy był oficer służbowy i zapisał cię do raportu. Szczęście, że nie spał, bo by cały nasz rząd to samo spotkało.

— Jak? Co mówisz? Powtórz.

Toczyłowski miał zwyczaj wykonywania jakichś skomplikowanych gestów przy każdej najprostszej czynności. Gdy chciał, by mu coś jeszcze raz powtórzono, mimo że słyszał doskonale, o co rzecz idzie, zaraz za pierwszym razem pochylał głowę, marszczył straszliwie czoło i, przyłożywszy rękę do ucha, czekał na odpowiedź z wyrazem pełnym niepokoju, prawie cierpienia.

— Ja ci powtórzę, pobielany pomniku z grobu samobójcy! Przestań na mnie wywalać tak grobowo gały, bo cię potrącę!

— Ja wiem. Ty byś wszystkich tylko potrącał. Myślisz, że gdy ci się z Chodkiewiczem udało, to i ze mną byłoby tak samo.

— Ach ty towarzyszu pancerny, co się nie boisz nawet psa! Stul tę ponurą jadaczkę, bo ci ją zamknę!

— Spróbuj!

— No patrzcie, koledzy! — Zakrzewski z iście skarrowskim zwrotem zwrócił się do obecnych. — Nie dość, że oferma źle zrobił, to się teraz jeszcze stawia jak koci ogon.

— A ty — jak wesz na grzebieniu.

Zakrzewski, nie mogąc dłużej panować nad sobą, cisnął butem, który miał obuć na nogę, prosto w Toczyńskiego. Ten się uchylił i but palnął w drzwi, tuż przed samym nosem wchodzącego majora.

W pierwszej chwili cisza... otwarte usta. Kadeci zerwali się na „baczość“. Major tłumiąc w sobie irytację kazał winowajcy natychmiast wystąpić.

Zakrzewski zgrzytnął zębami i, pewny wylania z Korpusu, już miał wystąpić, przyznając się do winy, lecz nim to uczynił, uprzedził go Chodkiewicz.

— Co ja widzę! — zdziwił się major. — Tyś to uczynił?

— Tak jest, panie majorze!

Major chwilę się namyślał, a wreszcie rzekł:

— Ha, żal mi cię, bo żal, ale musisz stanąć do raportu celem wytłumaczenia się. Teraz zaś szykować się do modlitwy, a potem na śniadanie.

— — — — —

Jakże tu słuchać wykładu, gdy do okien klasy zaglądają bzy i jaśminy, buchające upajającym zapachem wiosny? Jakże tu skupić uwagę chociażby na tak ciekawych objaśnieniach, jakimi są uwagi profesora historii

wojskowości, dotyczące szczytowego rozkwitu polskiej sztuki militarnej na początku siedemnastego stulecia, gdy kosy wygwizdują wesołe trele, a sejmująca rzesza wróbli ćwierka hałaśliwie tuż za oknami klasy?

Tym chłopcom, z których wielu przybyło z niedoleczonymi ranami wprost z frontu bolszewickiego, z których wielu było wyróżnianych w rozkazach pochwalnych oraz dekorowanych krzyżami, brakowało tchu w bielonych salach dawnej austriackiej szkoły piechoty. Niektórzy tylko, lepiej wychowani, z nałogu przyzwoitości trzymali oczy wlepione w profesora, reszta zaś wykrzywiła się ziewającymi szczękami do gipsowych Homerów z Sofoklesami, krajała nożami ławki lub po prostu układała się jako tako do drzemki.

Tymczasem wykład był istotnie ciekawy. „Andrejka“, przejęty swoim przedmiotem, jasno i bardzo szczegółowo charakteryzował rozkwit wojsk zaciężnych w Polsce i wprowadzenie piechoty łanowej, czyli wybranieckiej, „abyśmy w Koronie i w państwach naszych dostatek pieszych ludzi do potrzeb wojennych mieli“, po czym odmawiał plastycznie kampanie moskiewskie Batorego, z kolei wspominał pokrótce o organizacji wojska za Zygmunta III dłużej zatrzymując się na bitwie kircholmskiej.

— Kircholm — mówił — jest klasycznym przykładem walnej bitwy, zakończonej pełnym zwycięstwem polegającym na zniszczeniu przeciwnika. Mało tak pełnych zwycięstw zna historia: ani jednego zaś, które by było odniesione przeciw takiej przewadze. Wynikło ono z mistrzowskich posunięć taktycznych. Starym obyczajem dowódca hufców polskich szukał rozstrzygnięcia na skrzydłach, ale z góry wybrał skrzydło, którego zwycięstwo dało rozstrzygający wynik. Na tym skrzydle z góry zapewnił sobie przewagę liczby. Walcząc jeden przeciw czterem w miejscu rozstrzygającego uderzenia miał właśnie ową przewagę liczby, a ponadto zachował walny hufiec do



ostatniej chwili w ręku, jako odwód ogólny, by w chwili krytycznej przeważać szalę zwycięstwa na swą stronę. Przede wszystkim klasycznym jest po Kircholmie pościg wroga, jako jeden z rzadkich w historii wypadków pełnego wyzyskania zwycięstwa.

Mimo woli major rzucił przelotnie okiem na siedzącego naprzeciw katedry Chodkiewicza i uśmiechnął się, widząc, że twarz kadeta jest blada, opromieniona wyrazem dumy, podobna do oblicza żołnierza, którego w zwycięskim szturmie na bagnety śmiertelnie raniono, lecz on, obłąkany szczęściem, choć zeń krew uchodzi, ma radość w sercu i światło w oczach.

Major jeszcze raz spojrzał na kadeta i wprost od szczegółów bitwy kircholmskiej przeszedł do omówienia klęski cecorskiej, w której zginął mężny hetman Żółkiewski, by z kolei odmalować najazd sułtana Osmana na Polskę i wstrzymanie go w pochodzie przez rycerstwo koronne w Mołdawii nad Dniestrem, w pobliżu Chocimia.

Wtem Chodkiewicz powstał i rzekł nieśmiało:

— Panie majorze...

— A co tam? — spytał „Andrejka“ marszcząc czoło.

— Panie majorze — mówił lalusz głosem drżącym, jakby stłumionym przez gwałtem wstrzymywane łzy — dlaczego pan nie wspomina, że zwycięzcą pod Kircholmem, jak również wodzem rycerstwa polskiego pod Chocimem był hetman wielki litewski, Jan Karol Chodkiewicz, który — tu wargi mówiącego zacisnęły się, nozdrza klasycznego nosa zadrgały, brwi skoczyły do pół czoła, a twarz oblała się łuną czerwieni — w toku odpierania zawziętych ataków tureckich, w nagłych i skutecznych wycieczkach z obozu przeciw nieprzyjacielowi zmarł, złożony wiekiem, dokładnie przed trzystu laty, pozostawiając hufce polskie w obliczu zwycięstwa?

Major chrząknął, zakaszłał, przy czym na jego ustach pojawił się tajemniczy uśmiech.

— Pytasz: dlaczego? — odparł cicho. — Oto dlatego, abyś ty przeoczone przeze mnie szczegóły podał kolegom. Abyś im, jeśli potrafisz, uwydatnił sylwetkę twego pradiada, który z pewnością, będąc młodym, nie ciskał butem w swych wychowawców — dokończył zjadliwie.

Kadet spojrzał nań błagalnie, pociągnął nosem i zaczął:

— W archiwum rodowym znalazłem pamiętnik ła-ciński uczestnika wojny chocimskiej Jakuba Sobieskiego, który przytacza tam mowę hetmana wielkiego przed bitwą, nieporównanie charakteryzującą wpływ mego pradiada na podwładnych.

Na chwilę zamilkł, jakby zbierał myśli, po czym głosem niezbyt donośnym, ale dźwięcznym w ciszy klasy, niby tracanie stalowej klingi o kamień, zaczął:

— „Pole to, dzielne rycerstwo, na którym dwa woj-ska widzicie, czynów raczej, niż słów wymaga. Nie stwo-rzyła mnie przyroda na wielomówcę, ani wiek w kurza-wie obozowej pięknych krasomówczych kwiatów mię nie nauczył, ani czas przed bojem, który wnet nastanie, nie starczy na słuchanie mowy obywatelom Ojczyzny i wspól-nej Rzeczypospolitej, na której sławę i całość ciała wasze przynieśliście na ofiarę. Siła winienem fortunie, iż mię, z wielu ustawicznych bojów i przygód zdrowo wynosząc, zachowała na dzień dzisiejszy, kiedy albo żyw dobrze się zasłużę Królewskiemu Majestatowi i tej sławnej Rzeczypospolitej, albo, zabity na ziemi nieprzyjacielskiej, będę pogrzebion rękami tylu chrześcijan, moich współobywa-teli“...

— Gada jak z nut! — mruknął z pod pieca Czeka-liński, po czym znów nawet najłżejszy szmer nie zma-cił ciszy, wśród której Chodkiewicz mówił równo, ze spokojem, lubo z jakąś ukrytą w słowach wewnętrzną gwałtownością, kiedy niekiedy wymykającą się między sylabami.

— „Chcę tedy, abyście wiedzieli — brzmiało donośnie i potężnie — że na słuszności sprawy naszej i na waszych prawicach leży zdrowie i nadzieja całej Pospolitej Rzeczy. Niechaj was nie trwożą owe, co widzicie, dla pychy tyrana i waszego popłochu rozbite namioty, bo po większej części są puste i jeno oczy bawią. Ani się lekajcie, że w słońiach i wielbłądach bojowa jest siła, bo te, sakwami obarczone, gną się pod własnym ciężarem. Jako cień marny i próżną liczbę ważcie sobie te azjatyckie tłuszcze, miękkie duchem, pokarmem i odzieżą, wycieńczone rozkoszą, podobne do niewieścich zastępów“...

I oto Chodkiewicz wyprostował się, rzekłbyś urósł, oczy mu się zaiskrzyły, z policzków omal krew nie trysła, głos zaś szorstko wnikał do uszu słuchaczy:

— „Nie ostać się najeźdźcom na pierwsze zgrzytnienie trąby polskiej, na pierwszy szczęk broni waszej, boście wy rodowici Sarmaci, wychowańcy twardego Marsa, a wasze niegdyś sławne chobre przodki, na zachodzie w Elbie, na wschodzie w Dnieprze, żelazne owe zabiły słupy, jako pomniki wiekuistej sławy“...

Kto żyw, każdy wlepił oczy w mówiącego, który z płamą bandaża na zranionej głowie, zaiste, był podobny do wodza w tłumie bitewnym zagrzewającego swe hufce do sprawy. Jedni słuchali wyprostowani, inni, zwłaszcza ci z dalszych rzędów ławek, zbliżyli się do Chodkiewicza. Tylko Zakrzewski, zdawało się, nie słuchał, gdyż mając ukrytą twarz w dłoniach, trząsł się całym ciałem, jakby łkał. A ostatni potomek bohaterskiego hetmana darł swym głosem, niby sztyletem, ciszę na ostre strzępy, że aż kadeci stłumili oddech zaparkłszy go głęboko w piersiach. Gdyby ktoś słuchał z korytarza, mógłby przysiąc, że jakiś samotnik ćwiczy się w głośnym monologowaniu.

— „Na dane hasło uderzcie we wroga, Polacy i Litwini, pomnąc na pradziadowską chwałę, bo tu nawet

najgnuśniejszy żołnierz pomiędzy bystrą rzeką, a rozpiechłymi zewsząd Turki i Tatary nie miałby po co i dokąd uciekać. Dla dzielnego rycerstwa oto otworzyste pole nieśmiertelnej sławy. Nie myślę, ani się spodziewam, aby tu byli bojaźliwi: konieczność niech stanie za męstwo, odważnych niechaj umocni miłość ku Bogu i Ojczyźnie. Ty zasię, święta Sprawiedliwość i Potęgo, przez którą królowie panują, a wojownicy całego świata mają zwycięstwo, powstań na straszliwych imienia Twojego nieprzyjaciół, prawicą Twoją dodaj siły, wstrzymaj pomstę za nasze grzechy, wymierz srogą karę nad srogimi ludźmi!“

Wtem dzwonek obwieścił koniec lekcji i Chodkiewicz, dobiegłszy kresu przemowy swego rycerskiego pradziada, zacichł.

Lecz major - wykładowca nie powstawał z katedry. Siedział jeszcze długą chwilę, a wreszcie dźwignąwszy się ciężko, rzekł nie patrząc na nikogo:

— Chodkiewicz. Do raportu możesz się nie zgłaszać. Darowuję ci winę.

I wyszedł.

— — — — —

Na godziny poobiednie według programu przypadało wyszkolenie bojowe. Miało ono na celu uzmysłowić kadetom obraz walki, jak najbardziej zbliżony do rzeczywistości.

Instruktorowie, starzy wyjadacze i praktycy legioniowi, wpajali kadetom podstawowe zasady walki, opartej dziś przede wszystkim na sile moralnej, której najistotniejszą częścią, jak stwierdził Twórca armii polskiej, Marszałek Józef Piłsudski, jest:

„...namiętne dążenie do zwycięstwa, do zgniecenia i ostatecznego pokonania przeciwnika oraz wiara w powodzenie swego oręża i płynące stąd zaufanie do siebie, jako żołnierza.

...Uczucia te, gdy są szeroko w masie żołnierzy rozpowszechnione, wytwarzają podłoże tak dogodnie dla rozwoju wszystkich cnót żołnierza, jak męstwo, wytrwałość, pogoda ducha przy znoszeniu ciężarów bitwy i w ogóle wojny, że dają siłę prowadzącą do zwycięstwa.

...Zwycięstwo w boju doby dzisiejszej jest wynikiem wielkich wysiłków, trwających bardzo długo, w czasie których waha się szala powodzenia. Po długim zmaganiu się następuje wreszcie w boju kryzys, po którym jedna strona ulega drugiej. Jest to kryzysowy moment ulegania, przyznawania się do słabości, uznawania przewagi przeciwnika nad sobą. Przetrwanie tego momentu, opanowanie i zdobycie się na zdecydowane i stanowcze działanie w najcięższych nawet, pozornie niekiedy beznadziejnych położeniach, decyduje o zwycięstwie“.

— Zapamiętajcie sobie chłopcy — nieraz powtarzał dowódca baonu szkolnego — że kto chce być żołnierzem, musi się otrząsnąć ze wszystkiego, co człeka zbyt rozkleja i osłabia. Więc, jeśli kto z was nie ma ducha twardego, niech go ujmie w twarde kleszcze. Jeśli kto nie ma prostego serca, niech je wyprostuje. Inaczej—za trudno wam będzie wytrwać.

Wykładowca nauki o powinnościach żołnierza nieomal każdy wykład kończył następująco:

— Kto chce rozkazywać, musi się przedtem nauczyć słuchać. Kto chce być dobrym oficerem, musi najpierw być dobrym szeregowcem. A zostawszy oficerami, pamiętajcie, że każdy z was jak górnik, dzień w dzień, czy to w upał, czy w zimno, w deszcz i śnieg, każdy z was musi codziennie dobywać z siebie uciążliwą pracę palowo, w którym hartuje się pancierz obrony kraju.

Instruktor wychowania fizycznego karmił tych, którzy dążyli do pobicia rekordów drogą nadszarpujących zdrowie wysiłków, mówiąc:

— Granic naszych nie bronią rekordziści i mistrzowie świata. Obronimy je dzielnością i sprawnością bezimiennych milionów obywateli, zaprawionych przez wychowanie fizyczne do trudów, karność, niewygód, poświęcenia, otrząskanych z niebezpieczeństwem i znośnięciem bólów. Wy macie być nauczycielami tych milionów, więc nauczcie się, jak to należy czynić, jak wychować dzielnego pod każdym względem obywatela - obrońcę.

Nauczyciel literatury często powtarzał kadetom maksymę Małaczewskiego:

Polska okrzepnie wtedy  
Z słabości, nędzy i biedy,  
Jak własnej mocy wskrzesiciel,  
Krwi drogiej strojna koralem —  
Gdy każdy kiepski marzyciel  
Zostanie dobrym kapralem.

— To o tobie mowa, Karolinko — wtrącał przy tym Zakrzewski.

Ale najbardziej obrazowo tak o wojnie, jak i o powołaniu oficera wyraził się dnia 4 maja sierżant, instruktor walki na bagnety:

— Phi, co to wojna! Jedni strzelają i drudzy strzelają; jedni mają boja i drudzy; a ci, którzy mają mniejszego boja, w pewnej chwili porywają się naprzód i gonią przed sobą tchórzów, „cykorianów“. A trzeba pamiętać, że nie każda kula zabija, bo gdyby tak było, wojna światowa, miast czterech lat, trzech miesięcy i dziesięciu dni, mogłaby trwać najwyżej cztery tygodnie. Kto z was był na wojnie, to wie, że wiele hałasu o nic i że na serio można traktować tylko ogień z bardzo bliskich odległości, a bardziej jeszcze zwanie lub groźbę zwania na bagnety. Zaś do bagnetu to trzeba być jak mur. Toteż wtedy będziecie dobrymi oficerami, gdy każdy z was nauczy się jak pacierza: ciosów, pchnięć oraz wypadów. Zrozumiano?

— Tak jest, panie sierżancie!

— No, więc teraz zabierzmy się do ćwiczeń. Kadet Chodkiewicz może odmaszerować.

— Dlaczego, panie sierżancie?

— Przecież pan chory.

— Eh, już mi nic nie jest. Proszę, niech pan sierżant pozwoli mi ćwiczyć.

— Ha, jeśli pan chce, to ja nie mam nic przeciw temu.

Zadowolony Chodkiewicz wstąpił do szeregu. Po chwili rozległ się ostry głos instruktora:

— Postawa — szermiercza!

Z postawy „baczość“ kadeci piorunem cofnęli prawe nogi w tył, ugięli się w kolanach, a karabiny oparłszy kolbami o prawe ładownice, bagnety niby żądła przed piersi wysunęli.

— Z wypadem dwoma — pchnij!

Lewe nogi z całym rozpędem skoczyły do przodu, prawe, wyprostowawszy się na całą długość, na obcasach mocno spoczęły, a równocześnie karabiny, pchnięte wyprostowanymi obu rękoma przed piersi, zadały cios imaginowanemu wrogowi, po czym tułowia kadetów błyskawicznie wróciły do normalnych postaw.

Kompania ćwiczyła dalej tak forsownie i ochoczo, tak dziarsko, z takim zapałem, że sierżant aż przysiadł z radości nie mogąc powstrzymać uwagi:

— Ależ wy dziś byczo ćwiczycie! Gdyby tak w czasie wojny, w kadrze, to bez wahania przeznaczyłbym was do marszówki na front. Nawet Chodkiewicz ani razu się nie pomylił.

Gdy dzwon szkolny obwieścił koniec ćwiczeń, przy zbiórce w dwuszeregu, kryjący Chodkiewicz Zakrzewski szepnął:

— Karolinko, trzymaj się mnie przy kolacji, a pokażę ci coś fajnego.

— No? — Chodkiewicz zerknął pytająco w tył na kolegę.

— Teraz ani pary z gęby! Czekaj na kolację!

Nareszcie po zimnym tuszu pod prysznicem kadeci obsiedli stoły w jadalni. Wtedy Zakrzewski wcisnął w rękę zjadającemu smacznie lalusiowi szmat zadrukowanego papieru, mówiąc półgłosem:

— Czytaj!

Początkowo Chodkiewicz spojrzał niedbale na wręczony mu papier, lecz przekreśliwszy go oczyma, spostrzegł kilka nagłówków, wydrukowanych najgrubszymi czcionkami, ciągnącymi się przez trzy szpalty:

— „Na posiedzeniu lwowskiej Rady Miejskiej wielka demonstracja, domagająca się pomocy dla Górnego Śląska“.

— „Powstanie wybuchło w nocy z 2 na 3 maja; zajęto kilka powiatów okręgu przemysłowego i miasta“.

— „Niemcy się zbroją i mobilizują. Całe transporty ochotników zdążają ku granicy Górnego Śląska“.

— „Koalicja, jak zwykle, zwleka z rozstrzygnięciem“.

Dygocący jak liść pod podmuchem wiatru chłopak, z kolei przeczytał rozkaz dzienny naczelnego wodza powstańców:

— „Powstańcy Górnego Śląska! Grozi nam niesłychana krzywda! Wbrew traktatowi wersalskiemu, wbrew wynikom głosowania, okręg przemysłowy, polskie powiaty mają być znowu poddane pod jarzmo pruskie. Równocześnie niemieccy przemysłowcy naradzają się nad tym, jak po przyłączeniu tych części do Niemiec usunąć z nich robotnika polskiego z kopalń i hut, a zastąpić go obcym.

Powstańcy! Na zdradę ziemi, na dalszą niewolę, na germanizację, na odłączenie od wolnej Polski, na wyrzucenie nas z warsztatów pracy — pozwolić nie możemy!“...

Dalej Chodkiewicz nie czytał. Serce w nim szarpnęło się, jakby się chciało wyrzeć z piersi. Tam, na Śląsku, walczą rodacy z wrogiem, który jest wspomagany przez ochotników z Niemiec — p r z e z o c h o t n i k ó w z N i e m i e c — niby dzwon zadźwięczało mu donośnie w uszach, a on tu siedzi w Korpusie. Wstyd rumieńcem zapalił mu twarz. W myślach uczynił się zamęt. Gardło chwycił mu skurcz, nie pozwalający ani słowa przerzec.

Wtem obok siebie usłyszał cichy szept:

— Prawda, Karolinko, trzeba nam iść?

Chodkiewicz zwrócił głowę w bok i ujrzał twarz Zakrzewskiego. Nie była to już twarz wesołka ni kpiarza, zawadiaki, gotowego do awantur, lecz ściągnięta, zeschupłała, na której widniała myśl trawiąca, głęboko utajona.

Obaj koledzy, rozumiejąc się wzajem, skrycie uściśnęli sobie dłonie.

---

Tego wieczoru w sypialni pierwszej kompanii było gwarno, jak na bolszewickim wiecu. W najciemniejszym kącie sali, obok łóżka Lipowskiego, zaraz po capstrzyku zgromadzili się prawie wszyscy kadeci ostatniego rocznika, aby omówić plan wyjazdu na Górny Śląsk, do powstania.

Jakby wymodlona ich pragnieniami zjawiła się nareszcie wojna. Już od października ubiegłego roku, kiedy na skutek rozejmu z Bolszewią nie mogli dłużej „we krwi wroga brodzić“, śniła im się zawsze wielka awantura, wielka swoboda, wielka zmiana, z racji której można by było wypełnić żywot walecznymi czynami — no, więc mieli tę wojnę i to jeszcze nie byle jaką, bo: powstanie!

Powstanie — podobne do tego, o jakim słyszeli od ojców i dziadów, krwawe powstanie 1863 roku, którego

uczestników, zgrzybiałych starców w granatowych rogatywkach z oficerskimi galonami, prawie codzień spotykali na ulicach Lwowa salutując im z kornym poszanowaniem.

A oto teraz podobni tamtym straceńcy walczą o Śląsk — jakże im nie pójść z pomocą?!

W rozpalonych, młodzieńczych głowach tłoczyły się najfantastyczniejsze plany, najśmielsze projekty.

Najgoręcej występował Zakrzewski.

— Koledzy — mówił — byłby to wstyd, gdybyśmy czym prędzej nie pośpieszyli na powstanie! Żołnierka nam nie obca, więc się przydamy. Przecież powstańcy, to, o ile przypuszczam, „cywilbanda“, przeto my, posiadający jakie takie przygotowanie wojenne, będziemy cenieni na wagę złota. Moim zdaniem — nie ma się co długo namyślać.

— Zwłaszcza ty nie masz się co długo namyślać wiedząc, że twoja promocja wisi na włosku.

— Toczyłowski, zamknij tę grobową japo, bo ci ją bez grabarza i gratis zawalę!

— Uważam, że Toczyłowski ma rację. Przecież to koniec roku szkolnego, egzamina za pasem, więc gdy pójdziemy na powstanie, z promocji będą nici. Przypuszczam, że na Górnym Śląsku nie odegramy wielkiej roli, a po powrocie tak dla Polski jak i dla rodziców stanemy się tylko ciężarem — z przesadną modulacją głosu przemówił „kował“ Karolski, prymus klasowy.

— Nie wzywaj imienia Polski nadaremno — patetycznie rzekł Kossakowski — bo cię przeklnę w imię Boga!

Wszczęła się ożywiona dyskusja, część kadetów była zdania Zakrzewskiego, część przychyliła się do wywodów Karolskiego.

Sporo w ogóle nie zabierało głosu, choć wszyscy ro-

zumieli, że należy zachować solidarność: albo cała klasa wyrывa hurmem na Górny Śląsk, albo cała pozostaje.

Tylko Chodkiewicz nie dzielił ogólnego ożywienia. Z „poetą“ Czekalińskim przysiedli obaj na łóżku od czasu do czasu rzucając sobie półgłosem jakieś uwagi. Gdy jednak kłótnia się przeciągała i zachodziła obawa, że przed powzięciem decyzji może do sypialni wkroczyć oficer służbowy, Czekaliński się odezwał:

— Koledzy! Wychowawcy ciągle nam powtarzają, że winniśmy naśladować ofiarny czyn bojowników walk o niepodległość Polski. Prócz Śląska prawie już wszystkie ziemie zostały złączone z Macierzą. Gdybyście wiedzieli... Moi rodzice mieszkają w pobliżu śląskiej granicy... Gdybyście wiedzieli... Gdybyście znali dolę Górnos Ślązaków, rzęście łzy polałyby się wam z oczu. Zważcie, że na tej starej Piastów ziemi już od sześciuset lat panoszy się rasa germańska, pilnie bacząc, by lud polski kwiatów i słońca wolności nie zobaczył, by się do turmy czarnej przyzwyczaił, by uwierzył, że jest tylko robakiem, dla którego nie ma miejsca na słonecznym świecie...

— Gada jak łysy — ktoś wtrącił — tylko mu łysiny brakuje, bo by psy do niego wyły jak do księżycy.

— Ciii!... — zakrzyczeli go inni. — Niech gada, bo mądrze gada.

— I oto patrzcie, koledzy — dźwięcznym głosem ciągnął Czekaliński — że ten lud, przez wiele wieków odcięty od wszelkiej łączności z resztą narodu polskiego, już trzeci raz powstaje z bronią w ręku pragnąc się z nami zjednoczyć! Czy to nie cud? Czyż ci ludzie nie są godni naszej pomocy? Czy udział w takim powstaniu nie będzie stanowił najpiękniejszego wspomnienia w naszym życiu? I czy pora tu na wahania, rozprawy, zwady i rozmyślania?!...

Urwał, porwany własnymi słowami, po czym, odetchnąwszy, podjął:

— Lud śląski walczy, opuszczony przez wszystkich. W swą ziemię szponami się wdarł, zębami się jej chwycił i nie opuści jej ani za szczęście, ani za słońce A tu nasze wojsko ma zakaz brania udziału w powstaniu!... A tu z całych Niemiec ciągną na Śląsk ochotni-



*Kadet służ. CZEKALIŃSKI HENRYK*

*poległ w trzecim powstaniu górnośląskim pod Zabowicami 10 czerwca 1926 r.*

cy, aby wdeptać w ziemię, w strugach krwi utopić odruch rozpaczy robotników polskich!... Koledzy!!!!... — zakończył stłumionymi wielką pasją słowami. — Kto żyw, kto czuje w sobie serce polskie, kto chce być prawdziwym oficerem i bojownikiem o niepodległość — na powstanie!!!

Teraz zerwał się Chodkiewicz. Cicho, chociaż donośnie, rzekł:

— Tu nie ma żadnych „ale“. Tu trzeba zdecydować: tak lub nie! Nie trzeba też wywierać presji. Kto chce zostać w Korpusie, niech zostanie; kto chce pójść, musi iść jak najprędzej, bo Niemcy nie będą czekali na nas i wnet stłumią powstanie Górnolazaków. Tedy zaraz zdecydujemy: kiedy pójdziemy?

Słowa te sprawiły należyte wrażenie. Wnet też uchwalono, że następnego dnia, po capstrzyku, każdy z ochotników przejdzie przez murek na cmentarz Stryjski, a stamtąd na pociąg do Zimnej Wody. Strój: furażerki i zielone amerykańskie koszulki. Żadnych pakunków. Wszystkie posiadane pieniądze — do kieszeni.

I na Górny Śląsk, na P O W S T A N I E!

Zakrzewski, rad z powzięcia decyzji, układając się do snu mamrotał:

— Byczo jest! Nareszcie pójdziemy. Och, jak będę kropił do Niemców!

Coś mu się przypomniało, bo spochmurniał i dodał:

— Ale Toczyłowskiemu nie daruję! Jeszcze mnie on popamięta.

### III.

Była noc, gdy spiskowcy spotkali się w parowie, w parku Stryjskim. Należało śpiesznie działać, bo wszak za kilka godzin w Korpusie spostrzegą brak kadetów, za telefonują do wszystkich posterunków żandarmerii i policji sprowadzając z powrotem uciekinierów pod bagnietami.

Ruszyli do stacji kolejowej. W drelichowych portkach, w rozpiętych amerykańskich koszulkach, z rękoma w kieszeniach, niczym nie przypominali świetnych kadetów. Cywil-banda i tyle. Z nieposkromnionej radości Zakrzewski zaintonował jakąś dziką pieśń, której nawet psy wiejskie zawtórowały wyciem. W pewnej chwili, obzuciwszy wzrokiem grupkę kolegów, zdumiał się.

— Jakto? — z krtani wyszedł mu piskliwy, darty prawie głos, jak młodemu kogutowi. — Toczyłowski idzie z nami?!

— A cóż! Myślisz, że tylko ty masz prawo iść?

Zakrzewski zmełł w ustach jakieś niepoehlebne życzenia i po chwili rzekł:

— To dobrze, brachu, że idziesz, bo się będę mógł z tobą porachować. Pamiętasz? za ów but, z powodu którego omal mię z budy nie wylali.

— Dałbyś spokój — mitygował go Chodkiewicz, który bandaż na głowie zastąpił plastrem. — Co tam teraz będziemy wygrzebywać stare rzeczy.

— Ciii!... Ktoś idzie — ostrzegł Czekaliński.

Z mroku wyłoniła się sylwetka policjanta.

— Halo, stać!

— Co za „hallo“?

Przedstawiciel władzy zagroził kadetom drogę.

— Skąd panowie idziecie?

— Z Łodzi — mruknął ktoś na chybił trafił.

— Skąd?

— Słyszysz pan, że z Łodzi.

Zakrzewski mamrotał z tyłu:

— Z Łodzi chodzi, tylko nie złodziej...

Policjant wydobył notatnik, zaświecił elektryczną latarkę.

— Ilu was jest?

— Dwunastu, ale stu dwudziestu idzie w tyle.

— Hm, mnie tu właśnie ze Lwowa telefonowali, że-  
bym zatrzymał takich dwunastu, do was podobnych.

— Czyż pan nie widzi, że nas jest stu trzydziestu  
dwóch?

Policjant zawahał się. Sytuacja stawała się wysoce kłopotliwa. Na szczęście Lityński skoczył po rozum do głowy. Posiadając z dawnych czasów cywilną legitymację wydobył ją i, wskazawszy na miejsce swego urodzenia, rozstrzygnął wszystkie wątpliwości.

— Widzi pan, panie władzo, my jesteśmy wszyscy z Kuczurmare, a idziemy przez Lwów i Przemyśl do Łodzi na wycieczkę.

— Cóż to za Kuczurmare?

— Jakto? — spiskowcy zawołali chórem. — Pan, Polak, katolik, policjant nie wie, co to Kuczurmare?!

Wyli wprost z oburzenia, że aż policjant się zaperzył:

— Kto wam mówi, że nie wiem?! — i po chwili dodał: — Ilu ich tam idzie z tyłu?

— Stu dwudziestu! I niech im pan powie, żeby się śpieszyli.

Obie strony pożegnały się ze sobą prawie przyjaźnie.

.....

Rozpoczęła się najdziwaczniejsza — bez grosza i pożywienia — podróż kilkunastu wyrostków, tropionych przez policję i żandarmerię wojskową. Kilkakrotnie zmieniali pociągi, w wagonach kryli się pod ławkami, najczęściej głodni, zawsze weseli. W Tarnowie któryś z nich całkiem po prostu ukradł ze straganu bochenek chleba. Cóż to była za uczta!

Po drodze łowili łączywie wiadomości o powstaniu, które rozpalało się jak pożar.

Tak dotarli do Krakowa.

Na stacji, po przeciwnej stronie przytorza, stał wagon, z którego wynoszono właśnie trumnę, tak pokrytą wieńcami polnych kwiatów, że znikła jak grudka ziemi pod wiosenną trawą.

Sześciu oficerów z gołymi szablami trzymało straż honorową. Orkiestra zagrała marsz żałobny. Przed trumną, tuż za plutonem żołnierzy, błyskających lufami karabinów i ostrzami bagnatów, szedł kapelan wojskowy. Za trumną kroczył starzec o szlachetnych, zbolałych ryśach, wpatrujący się znieruchomiałym wzrokiem w białoczerwoną czapkę akademicką, przybitą na sosnowym

wieku. Dreptał drobniutkim kroczeniem, nawet nie płacząc, jak gdyby w jego starczych oczach zabrakło łez. Co chwila szarpał siwego wąsa i w ruchu tym uzewnętrzniała się cała jego rozpacz, przy tym mamrotał coś bezgłośnie, jakby do kogoś, kto by mógł go zrozumieć.

Chodkiewicz, przyjrzawszy mu się lepiej, załamała ręce i szepnął do kolegów.

— Boże święty, przecież to profesor Surzycki! Pamiętam, byłem u niego z ojcem, który prosił o rozwikłanie jakichś zawiłych kwestii rolniczych. Ale cóż on tu robi? Czyżby to jego syn spoczywał w tej trumnie?

— Tak, to jego syn, powstaniec, Janusz Surzycki, który padł pod Starym Kozłem kontratakując pozycje niemieckie! — wtrącił stojący obok półcywil, półżołnierz z białą - błękitną opaską na ramieniu.

Surowym, do głębi przejętym głosem, nieznajomy mówił dalej, patrząc na trumnę znikającą w bramie dworca Zachodniego:

— Dnia 9 maja, w pierwszej fazie walk o Kędzierzyn, w akcji na Stare Kozłe szły do ataku zastępy powstańców, wspierane jedną „baterią“, składającą się — tu przerwał i gorzko się uśmiechnął — z jednego małokalibrowego działą, którym dowodził i kierował powstaniec Janusz Surzycki. Obsługę stanowili akademicy... Niemcy bronili się zaciekle prażąc ogniem karabinów maszynowych posuwające się po odkrytym terenie drużyny powstańcze. Surzycki pragnąc osłabić wrogą siłę ogniową zastosował nową taktykę walki, sprzeczną z wszelkimi regulaminami artylerii całego świata. Miał strzelać z działą pod osłoną własnej piechoty, wysunął się na czoło tyraliery ciągnąc działą przy pomocy swych kolegów na... drutach fortepianowych i kabelkach telefonicznych. Szybkim i celnym ogniem zniszczył najbliższe gniazda wrogich k. m. Uwaga Niemców skupiła się na niebezpiecznym działą powstańczym i za chwilę huknęła nań salwa wystrzałów, a powstaniec Surzycki, ugodzony wrażą kulą, padł na po-

lu chwały. Jego śmierć wzbudziła wśród powstańców chęć pomsty. Niemiecki punkt oporu został wzięty na bagnety, lecz, choć akcja była skończona, nie stało...

Jakby go coś ścisnęło za krtań, bo urwał oddychając z wysiłkiem. Kadeci, uchylając jeden przed drugim wzrok i zmarszczywszy brwi, patrzyli gdzieś przed siebie.

Na przytorzu ukazał się patrol żandarmerii wojskowej.

— Chryste Panie! „Kanarki“! — wrzasnął Zakrzewski. — Chłopaki, wrywajmy!

Sam, dając przykład, smyrgnął pod wagony, biegł paręset metrów wzdłuż toru, przesadził parkan kolejowy i znów rwał przed siebie, aż naprzeciw ponurego gmachu w Łobzowie, skąd zaledwie przed sześciu tygodniami wyprowadziła się szkoła, osunął się na wznak i bezmyślnie patrzył w niebo ciężko przeżywając wyczerpanie.

Po chwili usłyszał zadyszany tętent biegu. Ile sił w nogach pędzili ku niemu Chodkiewicz z Toczyłowskim.

— Wzię-li, wzię-wzię-li ich!... — z jękiem łapiąc oddech, wykrztusił Chodkiewicz.

— Kogo wzięli? Gadaj do rzeczy!

— Cze - ka - liń - skie - go, Pszczół - kow - skie - go, Za - szczyń - skie - go i jeszcze kilku. Oj, co teraz będzie?!

— A co ma być? — zakonkludował filozoficznie Zakrzewski. — Bez kilku kadetów Górny Śląsk nie zginie. O! — krzyknął radośnie. — Jedzie „towarówka“! Musimy się na nią dostać nie czekając na kolegów.

— — — — —

W Sosnowcu zgłosili się chłopcy do komendy Związku Strzeleckiego. Tu, o radości! — spotkali większość towarzyszy, którzy z wyjątkiem Czekalińskiego, Pszczółkowskiego, Zaszczyńskiego oraz kilku innych przyjechali pociągiem pośpiesznym do Ząbkowic, a stamtąd przyszli piechotą do stołecznego miasta Zagłębia.

Komendant Związku Strzeleckiego dał im kwatery

w poczekalni dworcowej, zamienionej na szpital polowy. Na płóciennych noszach leżeli ranni, to skomlący jak szczeniaki, to charczący, jakby ich duszono, to milczący, jakby odrętwiali.

Kadeci, rozlokowawszy się w przeciwnym kącie, mieli wrażenie, jak gdyby nadeptali na pisklęta z obciętymi skrzydłami i powykręcanyimi nóżkami. Żadna bitwa tak nie podkreśla ohydy przeoranego kulami i granatami żywego ludzkiego ciała, jak to czyni szpital, zwłaszcza polowy. Kto padnie w bitwie, pada w mundurze. Czasem sukno zarumieni się rubinem krwi, ale właściwie nie widać samej rany i kontrastowej bieli ciała naokół wyrwy ziejącej juchą. Na wojnie najstraszniejsze są: wrażenia słuchowe, widok nieprzyjaciela, zwłaszcza w natarciu, i wieczna niepewność sytuacji. Dlatego rany nie robią tam takiego wrażenia, jak w szpitalu. Zresztą człowiek, chce czy nie chce, mówi sobie w głębi ducha: bodajbym tylko nie został zabity; o resztę — mniejsza. Na tyłach już się nie odczuwa, że rana, zwłaszcza lekka, jest dobrodziejstwem w porównaniu ze zgonem. Stąd — roztkliwianie się nad rannymi.

Ale — jakże się tu nie roztkliwiać patrząc na tego, może osiemnastoletniego chłopaka, co leży obok okna! Granat urwał mu rękę, twarz miał pociętą odłamkami. Powtarzał niezrozumiałe imiona i nazwy. Czasem przytomniał, mówiąc o matce, którą zamordowali Niemcy. W takich chwilach nagle się zrywał, wypręzał obandażowany kikut i krzycząc z obłądnym strachem biegł na korytarz. Tam tracił przytomność i padał na posadzkę, z której podnosili go kadeci układając na noszach. Wtedy ranny się cucił i całował po rękach pielęgniarkę, błada, przerażoną studentkę medycyny.

Zakrzewski poobchodził wszystkich rannych, każdemu z nich się przyjrzał, zadał kilka stereotypowych pytań o bitwach, w których brali udział, i w końcu, usiadłszy w kącie, jął rozmyślać.

— Łatwiej kaleczyć niż leczyć — rzekł sentencjonalnie, patrząc na trud pielęgniarce, po czym, zwinąwszy się w kłębek, twardo zasnął.

Reszta kadetów uczyniła to samo i po chwili zmieszany sapot oddechów zaległ poczekalnię.

— — — — —

Świtało, gdy obudził ich hałas i otwieranie drzwi. Wnoszono nowych rannych. Chodkiewicz, który co dopiero się obudził, swoim zwyczajem gapił się rozmyślając nie wiadomo o czym.

Nagle dźwignął się i trącił leżącego obok Toczyłowskiego.

— Te! — rzekł. — Spójrz na tego gościa, co stoi koło drzwi. Czy to nie ten z Krakowa, który nam opowiadał o zgonie Surzyckiego?

Toczyłowski nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w tejże chwili nieznajomy stanął przy nich. Był to chudy osobnik, z pokrzywioną głową i złamanym daszkiem nad świecącymi oczyma.

— A dokąd to? — spytał bezosobowo nie wyjmując rąk z kieszeni.

Kadeci zmieszali się. Jedyne Zakrzewski, z głową jak zwykle wyszczekaną, odparł z głupia frant:

— Wprost przed siebie, długą drogą tam, gdzie głupich pytać mogą.

— He? — zdziwił się intruz, rozstawiając piszczałkowate nogi w pogiętych sztylpach, po czym, wyciągnąwszy żylastą szyję z kołnierza wojskowego kroju kurtki, ryknął, aż w uszach zadzwoniło:

— Milczeć! Nie rezonować! Po coście tu przyszli? Odpowiadać, bo każę zamknąć! A przede wszystkim: b a c z n o ś ć !

Zerwali się odruchowo i wyprężyli jak struny. Pytający wzrok intruza spoczął na Chodkiewiczu, który w imieniu wszystkich odpowiedział:

— Przyszliśmy na powstanie, aby się bić z Niemcami.

— No, to tak mówcie! — warknął intruz już nieco łagodniejszym tonem. — Skąd jesteście? Czy czasem nie z Korpusu Kadetów?

Nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Zmieszani, przestępowali z nogi na nogę, podczas gdy tamten, ani dbając o odpowiedź, badał ich wzrokiem, kaszłał przy tym i chrząkał, obliczał coś i rozmyślał, a wreszcie rzekł:

— Skąd jesteście, to mniejsza, chociaż wiem, że zwialiście z wojska. Jednak pamiętajcie — tu głos jego stwardniał jeszcze bardziej — że w czasie wojny, przy całej surowości dyscypliny, jedna tylko dezercja może liczyć na łaskę: dezercja na front, pod kule!

Znów zamilkł, potarł kilkakroć dłonią czoło, poprawił czapkę, wsparł się pod boki i, wodząc oczyma po wyprostowanych jak struny chłopcach, spytał sucho:

— Więc chcecie się bić z Niemcami?

— Tak jest, panie... — zawahali się nie wiedząc, jak go tytułować.

Nieznajomy skrzywił się w pobłażliwym uśmiechu i objaśnił:

— W powstaniu nie ma szarż. Obznajomieni z wojną powstańcy pełnią funkcje plutonowych, kompanijnych, baonowych i dowódców grup. Ja jestem dowódcą kompanii czyli kompanijnym. Czy chcecie się zaciągnąć do mej kompanii?

— Tak jest, panie kompanijny!

— To dobrze! Musicie najpierw przekraść się przez granicę, zameldować się w Szopienicach w Enkawupe i z tą kartką, którą wam zaraz napiszę, a która wam posłuży za przepustkę, zgłosicie się w Piekarach. A jeśli którego z was trafi kula, to żeby mi potem, do stu piorunów, jeden z drugim...

— Rozkaz, panie kompanijny!

#### IV.

Przejdźcie granicy, którym tak kadetów straszono, okazało się dziecinną zabawką.

Żołnierz polski z karabinem na plecach chodził sobie wzdłuż rzeczki. Towarzyszący ochotnikom przewodnik ze Związku Strzeleckiego zajął wartownika rozmową, a w tym czasie kadeci przebrnęli dość głęboką rzekę Brynicę i szybkim krokiem, wśród łąnów właśnie okwitających zbóż, znaleźli się na skraju osady, obok okrytego zielenią cmentarza.

Na pierwszych już stodołach wpadły im w oczy świeżo naklejone plachty odezw tej treści:

„R o d a c y !

Waleczne, uzbrojone hufce ludu górnośląskiego osiągnęły walne zwycięstwo. Wywalczyły nam wspólnie z Wami, którzy samorzutnie chwyciliście się broni strajku generalnego, poszanowanie woli ludu polskiego na Górnym Śląsku, wyrażonej w dniu 20 marca 1921 roku podczas plebiscytu.

Pomiędzy Komisją Koalicyjną, a kierownikami ruchu zbrojnego stanął układ, który pozwala nam spokojnie patrzeć w przyszłość.

Czas powrócić do życia normalnego, a przede wszystkim czym prędzej należy podjąć pracę. Wszystkie kopalnie, huty, słowem wszystkie warstwy pracy na Górnym Śląsku, powinny być czym prędzej uruchomione, aby pokazać światu, który cały ma na nas oczy z podziwem zwrócone, że nie tylko walczyć, ale przede wszystkim pracować i życie gospodarcze organizować umiemy.

Zostają pod bronią jedynie ci, którzy pełnią służbę w organizacji wojskowej powstańczej. Ci do pracy nie wracają i wytrwają na posterunkach w myśl rozkazów swej przełożonej władzy...”

— No i co teraz będzie? — pisał zmartwiony Chodkiewicz.

Zakrzewski zaperzył się.

— Co za głupie pytanie! — rzekł. — Co ma być, to będzie, ja w każdym razie nie wracam.

— Pewnie, że nikt z nas nie wraca — potwierdził Toczyłowski — ale ja się tam na drugi raz już nie dam nabrać! Cały rok stracić, boć przecież jako dezterterów do Korpusu nas nie przyjmą, to pewne. Nie, jak babcię drapcie, odtąd nie dam się nabrać na żadne kawały!

— No, to z pewnością Polska zginie bez twej pomocy — zjadliwie rozpaczał Kamiński.

— Żart żartem — zabrał głos Berber — ale przecież musimy coś postanowić. Więc pytam: co?

— A cóżby! — zdecydował z flegmą zawsze powolny Lipa. — Chodźmy najpierw do biura werbunkowego Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych, a tam będzie, co Bóg da.

— Wiesz, Lipa, tyś nie taka fujara, na jaką wyglądasz — pochwalił go małomówny Żytkiewicz. — Masz rację. Dymajmy do biura werbunkowego. Przecież je chyba znajdziemy.

Nie zwlekając minęli stodoły i znaleźli się w Szopienicach, które miały wygląd wielkiego obozu wojennego. Wszędzie panował ruch gorączkowy, choć nie bezładny. Po chodnikach sнуło się sporo niewiast w szumiących kieckach i obcisłych jaklach, wielce dorodnych, w wykrochmalonych czepcach na głowach, to znów okrytych na ramiona ulubionymi tureckimi chustami, używanymi tylko w święta.

Liczne samochody mknęły po jezdniach, rykiem klaksonów torując sobie drogę wśród gęstwy uzbrojonych cywilów, z białymi opaskami na rękawach. Cywile ci, uszeregowani w żołnierskim ordynku, zdążali gdzieś na zachód, a już opodal masywu czarnych budynków huty

ołowiu waliło ich takie mrowie, że kadeci musieli się zatrzymać, oczekując, aż te gęste rzędy wreszcie przemaszerują.

— Więc to tak wyglądają powstańcy! — zdziwił się Zakrzewski, patrząc razem z kolegami na olbrzymią, wydłużoną masę ludzką, która wypełniła całą szerokość ulicy.

Idące miarowymi kroki szeregi za szeregami przywodziły na pamięć, z przyczyny falującego nad głowami błysku luf karabinowych, chwiejne ruchy łanów zboża tuż przede żniwy. Powstańcy szli ociężale, świecąc wilgotnymi twarzami ociekającymi od potu. Byli wśród nich — obok ledwie co wyrosłych młodzików — ludzie już pod lat męskich schodzący południe; większość jednak stanowili mężczyźni w sile wieku, o twarzach chmurnych, wargach zaciśniętych i szerokich ramionach.

Przy skrócie do dworca kolejowego buchnęła gdzieś w przednich szeregach pieśń, na której dźwięk strudzone marszem i upałem pogłowie nagle ożyło wywrzaskując z mocą:

Chcą sprzedać kraj nasz dyplomaci —  
Hej! ludu śląski chwyć za broń.  
Za tę krzywdę nam dziś zapłaci  
Nasza robocza twarda dłoń.  
Tajemne targi i narady  
Swym czynem zwali śląski huf,  
Nam dziś nie trzeba pięknych słów —  
Nie będziem wdawać się w układy!

Błysnęły z ożywieniem oczy spod szerokich rond kapeluszy. Nogi poczęły szukać rytmu — wnet go znalazły. Krzyk wielu zbrojnych poniósł się szeroką falą ponad domostwa zadymionej osady, ponad liczne kominy hut oraz wieże wyciągowe kopalń, a pieśń huczała, nieomal rozsadzając mury i serca, które swym rytmem akompaniowały melodii:

Za wolny polski Śląsk,  
Na krwawy idziem bój,  
Na bój, na bój, niech wróg nasz drży.  
Zwyciężyć musimy my!

Powstańcy niepowstrzymanie parli naprzód. Te, do-  
tąd jakby na siedem pieczęci zamknięte, oblicza przeisto-  
czyły się i były teraz podobne do wilczych paszczek, go-  
towych do żertwy, którą drapieżniejszy od nich przeci-  
wnik pragnie im sprzed nosa sprzątnąć. Każdy szereg,  
maszerujący twardym krokiem, tak był podobny do po-  
przedniego, jak ów następujący nań z tyłu. Nie odróżnił-  
byś, kto tu młody lub stary, niedorosły lub dojrzały, bo  
oko gubiło się, nie chwytając różnicy w głowach jednak  
hardo wzniesionych, w ustach jednak twardo do krzyku  
rozwartych.

Gdzieś bez śladu przepadły zwątpienia kadetów, któ-  
rzy szli jakby zahypnotyzowani wraz z ciasno zgniecio-  
nym tłumem na chodnikach, idącym równolegle z pow-  
stańcami i wtórującym pieśni:

„Mądre wyroki zagranicy  
Przekreślím mocną wolą swą.

Nam dziś nie wydrze nikt granicy,

Którą zdobędziem własną krwią.

Ni piędzi ziemi nie oddamy

Chciwemu Krzyżakowi tu!

A walkę do ostatka tchu

Dziś tobie, Polsko, przysięgamy!

Po każdej zwrotce, przez cztery takty, dźwięczał  
chrześliwy łoskot miarowego kroku setek ludzi, zgodnie  
uderzających ciężkimi buciarami o jezdnię i szczękających  
bronią, za czym znów huczał refren rytmicznie, twardo,  
zaciekle, z pasją oszalałą ponawiający zakłęcie:

Za wolny polski Śląsk

Na krwawy idziem bój,

Na bój, na bój, niech wróg nasz drży.

Zwyciężyć musimy my! \*)

---

\*) Pieśń powstańcza grupy „Wschód“.

— Przebocą — zwrócił się do chłopców smukły, jasnowłosy, puciołowaty oberwaniec z opaską podoficerską na rękawie — przebocą, somżeście to kadety, kierych móm skludzić kómpanijnymu Władowskiemu?

— Tak, to my — potwierdził w imieniu wszystkich Żytkiewicz.

— Na, tóż kiej tak, to jako: jużzaś meldówaliście się w Enkawupe?

— Jeszcze nie.

— Ni? Czamu to? Poń kómpanijny czakają na was w Piekarach, tóż wy sie jeszcze nie meldówaliście? Pódźcie ze mną, jeny po gibku, bo sie musza śpiechać. Do Enkawupe.

W drodze do Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych, mieszczącej się w budynku szkolnym naprzeciw kościoła, niecierpliwy Zakrzewski zagadnął towarzyszącego im oberwańca:

— No, a jakże będzie z tym frontem? Przed chwilą czytaliśmy odezwę, że już nie będzie walk z Niemcami, bo powstańcy osiągnęli wszystko, co chcieli.

Zagadnięty nie zaraz odpowiedział. Ćmiąc grube cygaro dymił nim jakby z kómina lokomotywy, lecz wreszcie, jakby na odczepne, bąknął półgębkiem:

— Myżechmy tyż cytali ta łodezwa.

— No i co? no i co?

— Psiniec! Papiór ciyrpliwy, wszyjsko na nim możno szkryflać.

— Ależ to odezwa!...

— Łodezwa, łodezwa...—przedrzeźniał oberwaniec. — Przeca jużech wóm padoł, iże papiór ciyrpliwy, niy? Zaś dioseckie Germany tela sie robią z tej łodezwy, wiela jo z ónego dymu, kiery do luftu loce.

Odkasznął, splunął i strojąc srogiego marsa na czo-le prawil:

— Jo Germanów znóm. Óne dioseckie gizdy mają za psiniec wszeliniejakie łodezwy i papiórki, chtoby ich ta

nie wyłonać; zaś kiej dopadną luftu po tej faronowej pracce, kiera żechmy im wpodle Kandierzina wsuli, zarozki pódą przedsię i dziepiyro wyłonać nóm tako faronowo łodezwa, iże sie kożden powstaniec bydzie szkraboł, choćby łotrząsek.

— Myśli pan, iż nas walki z Niemcami nie miną?

— Toć, prawie godają. Mi sie zdo, iże poniykiery bydzie mioł za tela.

Powstaniec palcem uczynił charakterystyczny ruch pod brodą. Umilkł, bo już wchodzili do Naczelnej Komendy.

W całym gmachu panował ścisk i gwar. Stukały maszyny do pisania, co chwila ktoś mocno zaaferowany wybiegał to z tych, to z owych drzwi, przechodząc obok kadetów ze zmarszczeniem brwi, znamionującym nawał i doniosłość prac.

Z okna widać było obszerny plac, na którym jakiś służbista spod ciemnej gwiazdy, we wścieklej maciejówce i z lagą w rękę strofował musztrowanych powstańców.

— Jako stoisz, pieronie? Kajs przyszoł, pieronie? Idź na zadek, pieronie!

Za plecami piorunującego instruktora stała kuchnia polowa, z której rozchodziła się pachnąca włoszczyzną woń rosołu, przypominająca kadetom, że od wczesnego rana nic jeszcze w ustach nie mieli. Na świeżo porąbanych polanach, obok kuchni, siedzieli wolni od służby powstańcy, wychlipując zawartość menażek i coraz wybuchając donośnym śmiechem, zwłaszcza gdy instruktor sięgał do bardziej kwiecistych porównań charakteryzujących ćwiczone oddziały.

W tej chwili przewodnik kadetów wyszedł tyłem zza pobliskich drzwi i zmartwiony rzekł:

— Bólech u łoficyra werbunkowego, kiery mi doł pedzieć, iże sie moście meldować u szefa sztabu. Skiz czego tak, tóż ni moga wiedzieć. Wlazujcie sam! — wskazał głową na drzwi.

Z bijącym sercem chłopcy wkroczyli do wskazanego pokoju. Na powitanie podniósł głowę zza biurka, zawalonego mapami i przeróżnymi papierami, mężczyzna o marsowym wyglądzie, z przyszyżonym wąsem, a wysłuchawszy meldunku Żytkiewicza, spytał:

— Panowie jesteście kadetami?

— Tak jest, panie szefie!

Zapanowało milczenie. Szef sztabu myślał długą chwilę, po czym zagłębił się w jakimś piśmie, które, przewertowawszy, podał Żytkiewiczowi.

— Czytaj pan głośno!

Żytkiewicz ujął w palce podane mu pismo tak ostrożnie, jakby po nim łążyły dorodne choleryczne mikroby i nieco trzęsącym się głosem czytał:

— „Z korpusów kadeckich we Lwowie i Modlinie uciekło kilkudziesięciu wychowanków. Istnieje podejrzenie, że zgłaszają się do powstania. Żądam natychmiastowego odstawienia ich do granicy polskiej. Jako punkt zborny wyznaczam Sosnowiec. Upoważniony oficer zgłosi się po ich odbiór. Podpisał: Szef Sztabu Generalnego.“

Pod kadetami ugięły się nogi jak kartoflane badyle. Więc na cóż się zdała ich uciążliwa podróż, kontynuowana bez grosza, o głodzie; iście piskorzowe wyslizgiwanie się z rąk policji i żandarmerii wojskowej? Więc pozostaje tylko powrót do Lwowa, sromotny powrót, gdyż z pewnością pod bagnetami? Być w Rzymie i papieża nie widzieć? Być w samym centrum ruchu powstańczego i nie zakosztować nieprzyjaciela?

Nie, to być nie może!

Jakby popchnięty oczyma kolegów, Chodkiewicz podszedł do biurka, wyprężył się jak struna i głosem wzburzonym, drżącym rzekł:

— Panie szefie! Melduję posłusznie, że ja... to jest... ja w imieniu kolegów... ja proszę posłusznie, aby nas pan raczył przyjąć na powstanie. Nam przecież wojna nie

obca, braliśmy udział w obronie Lwowa, Warszawy... i ten... nawet na karabinach maszynowych się znamy.

To wypowiedziawszy patrzył błagalnie na człowieka, w którego rękę spoczywała teraz decyzja.

A ów człowiek, wsparłszy twarz na dłoniach, z dziwnym uczuciem przyglądał się zamienionym w słuch kadetom. Z jednej strony uczucie dumy, że Polska ma dzielne orlęta—widać, że w nich krew nie woda. Bo że przydaliby się świetnie — to fakt niezaprzeczony. Uświadomiony, gorący, ideowy element zawsze w każdym powstaniu ceni się na wagę złota. A zwłaszcza gdy ten element posiada wyszkolenie wojskowe, przywykł do porządku i posłuchu co czyni zeń doskonały materiał instruktorski dla zaimprovizowanych kompanii powstańczych.

Z drugiej strony żądanie szefa Sztabu jest zrozumiałe. Dziś dali przykład kadeci, jutro jeden i drugi oddział pójdzie w ich ślady, po czym wojna polsko-niemiecka, ledwie wisząca na włosku, może znów się rozpalić. A istnieje także dalsza groźba, że świeżo pobita Rosja sowiecka znów z tego skorzysta, by ruszyć na Polskę. Na domiar Niemcy wołają głośno o prawo wysłania regularnej Reichswehr'y celem stłumienia powstania, a Anglia jest w każdej chwili gotowa do udzielenia tej zgody. I któż teraz zaprzeczy, że powstanie górnośląskie stanowi świecę, palącą się na beczce prochu, że może ono lada chwila spowodować drugą wielką wojnę?!

„No trudno — szef sztabu powstania zakończył swe rozmyślenia. — Trzeba sobie radzić bez kadetów“ — więc powstawszy zza biurka oblókł się w obojętność jak w kuba i suchym urzędowym tonem rzekł:

— W imieniu Służby Powstańczej dziękuję wam, chłopcy, za odruch żołnierskiego zapału, ale karność wojskowa wymaga, byście wrócili do waszych oddziałów. Przydzielam was do sztabu komendy aż do czasu, gdy zgłosi się po was upoważniony oficer. Na razie będziecie pełnić służbę moich kurierów. Wasze nazwiska?

— Kadet Chodkiewicz Karol! — rąbnął słuźbiście lalul i, zakolysawszy się, jakby chciał krok naprzód postąpić, ciągnął dalej podniesionym tonem:

— Panie szefie, melduję posłusznie, że mimo wszystkich proszę o przydział do formacji frontowej!

— I my też! I my też! — zawtórowała reszta kadetów.

— Jeszcze raz powtarzam panom z naciskiem, że pozostaniecie przy sztabie komendy! — odparł szef, a jego rysy nie wróżyły nic dobrego. — Zważcie, że jako kadeci, którym za nieposłuszeństwo może grozić wykluczenie ze szkoły, winniście skorzystać z okazji, aby bez przykrych skutków dla waszej dalszej kariery wojskowej powrócić do Lwowa.

— Tak, to tak! — zaczął lalul chrapliwym basem, który co moment przelewał się w dyszkant. — Więc jeśli tak, to ja już nie wrócę do Korpusu! Panie szefie, ręczę panu za to słowem honoru. Byłem młodszy, a to... to poszedłem na front bolszewicki!... Ja nie wiem, jak koledzy... Ale ja mogę sobą rozporządzać, więc... więc proszę posłusznie o przydział do służby frontowej — dokończył niemal z płaczem.

Na to szef sztabu podniósł głos i rzekł:

— Albo pan jesteś żołnierzem i będziesz słuchać rozkazów, albo opuścisz szeregi powstańcze!

— Rozkaz, panie szefie! — Chodkiewicz zwiesił głowę ścierając rękawem rosę kroplistych łez, która mu twarz zalała.

Również i reszta kadetów musiała się zastosować do rozkazu, a tylko Zakrzewski i paru jeszcze innych opuściło chyłkiem pokój.

— Tóż co wóm pedzioł szef sztabu? — spytał przewodnik-powstaniec, posilający się na korytarzu. — Jakóż, móm to wos kludzić ku kómpanii?

— Jak kto ma szczęście, to w łaźni parowej zamarzanie! — mruknął ponuro Kamiński.

— Nic, tylko się i płakać! — jęknął Czyżyk.

Szlag by to trafił! — poruszył się nawet flegmatyczny Lipa.

Przewodnik zaczął ich pocieszać.

— Dejcie pokój! Nie przybirejcie się do łebów, ni! Mi się zda, że takie szwarne karlusy dadzą się dycki rada. Tóż trza smolić na wszyjsko i zbyte, a gónić jakór łód siebie, ni?

Po chwili westchnął.

— Byda ja miał łód kómpanijnego, na!... Miołech ich wszyjskich przykludzić na swacy na do Piekor, tóż kie szef sztabu nie doł wóm pozwolyństwa, póda sóm, choć cuja przez galoty, że kómpanijny bydzie tak przezywoł, co choćby pies, a nie chciołby łó dy mnie kaska chleba.

— Czemuż to?

— Czamu? Na, tóż dejcie się pozór, że nasz kómpanijny barzo ich rod widzioł. Dzisiok, kiejęch bół na sztacjonie we Sosnówcu, pedzioł mi tak: „Plutonowy, dej się pozór na tych synków. Eli tukej wyłonacys cosi kajsi z patrónami, tóż zarozki pódziesz do Szopiynic, kaj tych karlusów, kierym jo dołech przepustka, a kierzy mają na miano kadety, trefisz i przykludzisz tukej.“

Na, toćzech mu łobiecoł, a terazki cóżzaś napocna, eli wóm Enkawupe nie dała pozwolyństwa, ni?

Nagle drzwi od podwórza otwary się na ścieżaj i stanął w nich Zakrzewski.

— Cóż wy tu siedzicie, jak żydzi na pokucie? — zagadnął.

Kadeci, pograżeni w niewesołych rozmyślaniach, milczeli.

Zakrzewski uśmiechnął się nieznacznie i rzekł półgłosem:

— O wy frajerskie pały, wy zakute łby cielece! Czemuż wy się tutaj kwasicie, jak nasz polonista, gdy deklamuje tekst staropolski: „O mój smętku, ma żałości, nie mogę się dowiedzieci, gdzie mam pierwszy nocleg

mieci, gdy dusza z ciała uleci“. Zapomnieliście o przepustce, jaką dostaliśmy w Sosnowcu od kompanijnego?

— Prawda! — rozjaśnił się Żytkiewicz. — Że nam to jakoś nie wpadło do głowy.

Zakrzewski parsknął śmiechem.

— Ciekawym — rzekł z ironią — czy wam co kiedy wpada do głowy? Gdy ja wam nie powiem, co trzeba czynić, będziecie tu siedzieli jak płaczki na pokucie.

— No dobrze — wtrącił Chodkiewicz — ale jak stąd wyjdziemy?

— Jak? Bardzo prosto! Stąd wyjdziemy dwójkami, prowadzeni przez pana plutonowego, i nim szef sztabu o nas sobie przypomni, będziemy w Piekarach.

— — — — —

W Piekarach Władowskiego już nie było. Podobno na skutek jakichś wydarzeń na froncie musiał czym prędzej śpieszyć do pułku. Dla plutonowego Mira, przewodnika kadetów, zostawił tylko w komendzie Straży Obywatelskiej rozkaz, aby następnego dnia, omijając Bytom przybyli do Żyrowej.

Posiliwszy się w baonie stacjonującym w Piekarach niektórzy z chłopców, między innymi Chodkiewicz z Tochylowskim, udali się do kościoła parafialnego na nabożeństwo majowe. Ledwie tylko doń weszli, stanęli zachwyceni.

Z wielkiego ołtarza patrzyły na nich przeświecone niezmierną miłością oczy Matki Boskiej Piekarskiej tulącej tkliwie do łona Dzieciątko Jezus. Taką im się wydała to patronka Śląska swoja i najbliższa, taką miała słodycz w bławych oczach i taką dobrocią tchnęły Jej rozchylone usta, iż patrzenie na tę jasną i czystą postać sprawiało Chodkiewiczowi wielką przyjemność.

Patrzył i nie mógł się napatrzeć. Widział lico okrągłe, lico tutejszych niewiast, gładko rozdzielone pasma włosów i niepokalane czoło jaśniejące wśród zasłon chu-

sty. Mimo że tonęła w wspaniałościach złota i srebra wotów, poprzez majestat świętości przebijając się przede wszystkim owa najłagodniejsza macierzyńskość i miłosierdzie, słodycz i miłość.

Gdy organy odezwały się przyciszoną melodią litanii, Chodkiewiczowi stanął na jawie okres, kiedy stracił matkę. Przymknąwszy oczy tu, w tym kościele górnośląskim, ujrzał biały dwór na Ukrainie, cały w plamach słońca, otoczony wieńcem lip i grabów. Wspomnił sobie, jak to podczas jakiegoś odwrotu wysadzono groble, zalano łąki oraz gościniec i odcięto wieś na długie miesiące od świata.

I nareszcie pierwszą wieść o nowym porządku przyniósł oddział niedobitków, ciągnący z czerwoną płachtą, przywiązaną do spisy kozackiej. Odtąd, dzień po dniu, przewalały się luźne watahy, bandy wygłodniałe, nie wiedzieć skąd przybyłe; nieraz całe pułki, zdeorganizowane, nieporządne, bez oficerów i taborów.

Chodkiewicz pamięta, dobrze pamięta tych ludzi półdzikich, przystrojonych w resztki najprzeróżniejszych mundurów, mówiących do siebie mieszaniną kilkunastu języków i narzeczy.

— Ci ludzie zamordowali mi mamusię — pomyślał chłopiec, ściągając brwi z półdziecinny, bezradnym zacięciem, i mało brakowało, a byłby się na cały głos rozpłakał, gdy wtem wierni, wypełniający kościół, zaintonowali pieśń:

Cóż o Tobie dalej mówić, o Panno święta,

Jakie w Śląsku cuda czynisz — rzecz niepojęta,

Chorych na duszy i ciele

Uzdrowiasz tu bardzo wiele

Maryjo Panno!

Bądź pociechą zasmuconych, Panno Maryjo,

Ratuj nas w naszych potrzebach, niech nas złe mija,

Oddal od nas głód, mór, wojny,

A uprosz nam czas spokojny

U Syna Twego!

Ach, wy sieroty nieszczęsne, które wiele cierpicie,  
W swojej nędzy i niedoli poratunku nie macie,  
Oddajcie się na porękę  
Maryi Pannie w opiekę,

A nie zginiecie!

Do stóp obrazu, ukrytego wśród kwiecia i świateł,  
przypadały fale pieśni, zdające się przebijać mury świą-  
tyni w dążeniu do nieba. To tak przejęło Chodkiewicza,  
że czuł, jakby się łączył z tłumem obok klęczącym i pły-  
nął jednym strumieniem z nimi w strofie owej pieśni,  
która tak głosiła dobroć Orędowniczki niebios:

Ona, Matka miłosiedzia, za wami się przyczyni  
Do Syna swego miłego — będziecie wspomóczeni,  
We wszelkiej waszej potrzebie,  
Po śmierci królować w niebie

Na wieki wiecznie!

Gdy rozmodlony chłopak znalazł się wreszcie na  
dziedzińcu, księżyc już świecił, chociaż obok kościoła pano-  
wał mrok, z którego atoli biegły stłumione słowa, wypo-  
wiadane w skupieniu i powoli:

— Na, tóż kiej chcecie, jo wóm byda łozprowioł,  
skiż czego Polska przysła na Gorny Ślązek. Jeny dejcie sie  
pozór, boć to bóło tak. Downo już, barzo downo naszo Ma-  
cierz Polska, sama wszyjskim rządzioła i wszyjscy się mie-  
li dobrze. Dyć za nieskorzy roztomajte panoczki napocły  
się z nią wadzić, aże jej się to zmierzło i pedziała tak:  
„Chcecie rządzić, tóż dobrze. Dejcie mi jeny wymowa, a jo  
wóm ustapia; jeny dejcie sie pozór, coby wóm to na gor-  
sze nie wyszło“. Wszyjska szlachta napocła się cieszyć i cej  
co Macierzy łobiecowała. Ale za nieskorzy Polsce nie sty-  
kło kustu, tóż idzie do panoczków po wymowa: Zaś te pie-  
rony ani sie pedzieć nie dali o wymowie i wyciepli Pols-  
ka z jej chałupy. Polska gorko zapłakała i poszła  
przedsię, do mieszczan. Ale te marchy przegrzeszone  
napocły wydziwiać, iże óni od Polski psiniec do  
stali, tóż smolą terazki na nia i zbyte. Jako tyż wóm sie

zdo? Cóżaś ta naszo Macierz miała robić? Idzie do pampóni, a te mamlasy łozprowiają, iże im samym nie styknie kustu, tóż nikómu go nie dadzą. „Darmo - larmo - dumo sie Polska — widza, iże mi terazki przydzie z głodu zemrzeć skiż tego, co mie dziecka za psinieć mają“. I kiej sie tak podumała, jużaś chciała umierać, ale jej przyszło jeszcze do głowy, coby się udać do dziecka, kiere już dawno łopuscióła. A to dziecko to bół Gorny Słazek, wiedzą?

Górny Słazek, łopuszczony przez Macierz, łopuszczony przez wyrodných braci, dulcoł sie blank sóm, przez nikogo i jeny poniekiery księżoszek łopatrzoł go miłosiernym słowem. Wyrodne bratki z Polski ani sie dali pedzieć, coby tego nojstarszygo skludzić do siebie — balić! blank zakozali ło nim prawić — tóż Gorny Słazek bezma sześć setek lat bół sóm, blank sóm.

Tóż Polska szła terazki do tego Gornego Słaska i dumiała sie, iże przez łochyby i tyn ja tyż wyciepnie, a to skóli tego, jako downiyj ło niygo nie dbała. Idzie sie, idzie ciągiym przedsię idzie, a tako już niymocno, że aże coś. Idzie i borówkami jeny a grzybami sie kormi, tóż kiej ale przyszła nad Jordan, trefióły ją pierońskie Rusy i napocły strzylać z gwerów. Iże długo strzylali, tóż i trefili w Polska, z kierej tela krwie wysikło, że aże coś. Dyć naszo Macierz legła sie na ziemia i dumo sie, iże terazki już przez łochyby przyjdzie zemrzeć. „Na, tóż mój Pón Bócku — pedziała — weźmijże moja dusza, ażbych sie już nie musiała po niewdziężnych dzieciach słanikać. Niech Trojca Przenajświętszo terazki mo nade mną, nieszczęśliwą Macierzą polskiygo norodu, piecza“.

Chodkiewicz, zachwycony do głębi naiwnością opowieści, uczynił na palcach kilka kroków spostrzegając grupkę zasłuchanych kolegów, otaczającą wiekowego starca. Jego oblicze w blaskach promieni księżycowych było podobne do oblicza świętka, co biały, spokojny, z otwartymi nieco usty, jakoby istotnie był wyrzezan rylcem prostej a głębokiej wiary. Śnać był niewidomy, bo oczy miał

powleczone bielmem, a zgrzybiała twarz wiele się nie różniła od mlecznej barwy krótko przystrzyżonych włosów.

Właśnie zamilkł. Podnosząc do góry powieki pustych oczu uśmiechał się, a czasem poruszał ustami, jak gdyby z kimś rozmawiał.

— Wiesz? — Chodkiewicz posłyszał stłumiony szept. — To jest Wawrzyniec Hajda, niewidomy górnik - inwalida, którego uważają za Wernyhoreę górnośląskiego. Spotkaliliśmy go, gdy wychodził z kościoła i nasz plutonowy, przywitawszy go z czcią, poprosił, aby nam zechciał opowiedzieć jakkolwiek gadkę...

To mówił Toczyłowski. Jego mroczne oczy posmutniały jeszcze bardziej, lecz wprędce ożywiły się, bo ślepiec podjął opowieść:

— Tak sie ta Polska, boroczka, ślimto, a tukej znieobacka dała sie pozór i widzi wele siebie mocka chopów w berchmońskich kabotach, kierzy się tak cieszą, że ażę coś i prawią: „Oj, nasza roztomiło mamuliczko, tóż żeście tyż do nos przyszli, przyszli, ni? Niech im tyż Pón Bócek do wszyjsko co nojlepszy, iże tyż o nos, gornośląskich berchmonach, nie zabocyli. Oj, mamuliczko, chybiało nóm ich, chybiało“.

Polska widzi, jako ją te chopy tak serdecznie witają, tóż pado: „Cózżaś to znacy? Weźmiecie mnie to do siebie?“

A nasze berchmony jedyn przez drugiego prawią: Dyćby na nos kara Boska spadła, elibychmy naszo Macierz łopuścióli! Dyćby na nos i na nasze dziecka przewiecno gańba przyszła, kiebychmy naszo Polska Rusom łoddali! Wiedzą, pójdą z nami na gruba, kaj ich żodyn German, ni Rus, ni Łostryjok nie łobocy. My zaś koždygo rania, kiej zjadymy na szychta, przyniesymy za tela kustu, coby przeca głodu nie cyrpieli. Jeny chocioż terazki dadzą się pozór, iże my się Poloki i jeich dziecka, prowda-ni?

Tóż łobejrzyjcie sie, chopki, jako Polska przyszła na Gorny Ślázek i jako tukej z nami łostała. Łod tego casu napocła słynąc cudami naszo Najświętszo Paniczka z Pie-

kor i obie te nasze matki dzierzóły nad nami wacha aże do terazki, kiej już gornośląskie berchmony nie mogli sie dać tego spodobać, coby nimi dioseckie Germany nagrowali i pierońskim gizdom kryjom - lejom sprowiają, a wy, dobre bracia Poloki, ś nimi, prowda-ni?

Hajda skończył i znów nastała cisza. Noc roztoczyła nad ziemią kojące swe ramiona. Wielkie ćmy latały w powietrzu. W bzach śpiewały słowiki. Z przykościelnego ogrodu buchał upojny zapach jaśminów.

I nagle od strony Bytomia padł strzał. Za chwilę drugi, trzeci, czwarty — cała salwa.

Kadeci zerwali się na równe nogi, lecz plutonowy uspokoił ich:

— To psiniec. Tóż w każdo nocka „sztostrupy“ z Bytomia naskwol dziury w niebie wiertają.

— Mosz prawie, synek — przyświadczył Hajda, po czym jął odmawiać modlitwy wieczorne.

## V.

Od rana upalili już spory szmat drogi. Wyszędłszy z Piekar przemknęli się tuż obok placówek powstańczych, które cernowały Bytom, potem idąc środkiem Zagłębia węglowego ujrzeni olbrzymi kompleks gmachów fabryki w Chorzowie i przylegającą doń hutę: warowne bramy w zamczystych murach, okalających parusethektarową przestrzeń, porosłą piramidami wielkich i martenowskich pieców, ponad którymi sterczały kominy snujące płochliwe wiechy dymów.

A potem nieprzerwanym sznurem jęły mijać maszerujący oddziałek grzyby wież kopalnianych, wyrastające z kretowiska ziemi porytej hałdami, podobnymi do pobjowiska tytanów, którzy niesamowitymi siłami wzniesli olbrzymie zwały gruzów, czyniące niekiedy wrażenie prawdziwych gór, albo dla niewiadomych celów usunęli setki tysięcy ton piachu tworząc gigantyczne leje.

Choć dzień był pogodny, słońce świeciło jakby przyćmione, nadając krajobrazowi posępny koloryt, do którego dostrajały się swą szarą barwą marne i liche łąki lub słabo uprawne pola. Było w tym krajobrazie coś takiego, co napełniało dusze niewysłowionym smutkiem, niekiedy grozą, a czasem — podziwem.

Kadeci szli tak pochłonięci rozpościerającym się przed nimi widokiem, że prawie z sobą nie rozmawiali. Dotąd nic podobnego jeszcze nie widzieli, więc czuli się onieśmieleni oglądając z bliska fabryki, jawiące się przed nimi jak szatańskie zamki lub kuźnie, zbrojne w potężne, ginące gdzieś w chmurach baszty. Ponadto przytłaczał ich nieustanny huk biegnących mahin, wypełniający przestrzeń jakimś dziwnym niepokojem życia, które nie zna spoczynku.

Opodal Bolszewic, gdzie kwaterowało dowództwo grupy „Wschód“, spotkali sporą gromadkę powstańców wracających skądś beładnie. Plutonowy wyszperał wśród nich jednego ze swych znajomych.

— Józik, kaj to idziesz?

— Do dóm, pieronie! — odrzekł wąsał z podoficerską opaską na rękawie.

— Cóż zaś ze mnie błozny robisz? — obruszył się plutonowy. — Czy sie to już praczka z Germanami skońcôła, iże sie kludzisz do dóm?

— Na, toć, iże sie skońcôła. Tóż nie wiys, iże Enkawupe wydała łodezwa, coby sie ci, kierzy mają coś do cy-niynio dóna, kludzili spadki?

Plutonowy osłupiał.

— Skońcôła sie? — mamlał. — Praczka?... Enkawupe wydała łodezwa?...

— Na, cóżzaś sie tak głupio dziwosz? Mosz cygareta, to ci pokoża ta łodezwa?

— Móm. Tóż pokazuj! Jeny po gibku!

Tamten, nie śpiesząc się, wyjął najpierw z kieszeni zasmoloną kartkę i po otrzymaniu papierosa wręczył ją

plutonowemu, który, otoczony rozgorączkowanymi kadetami, zaczął szybko czytać:

— „Bracia! Odnioślszy świetne zwycięstwo mamy obo-  
wiązek pokazać światu, iż z tą samą niezłomną wolą umie-  
my w najkrótszym czasie przywrócić porządek i normal-  
ny tryb życia. Dlatego wzywamy wszystkich tych, którzy  
nie są potrzebni w zbrojnych szeregach, aby czym prędzej  
wrócili do pracy i codziennego zajęcia. Zbrojne hufce  
nasze zaś w myśl rozkazów otrzymanych powinny cofnąć  
się na wskazane im przez Naczelne Dowództwo linie, aby  
się odczepić od nacierających na nas Niemców, bo my nie  
pragniemy dalszego przelewu krwi i dalszych walk.“

Plutonowy prawie z jękiem, martwiejącym głosem  
przeczytał tę odezwę, lecz ujrzawszy dodrukowany poni-  
żej dopisek, znów podjął:

— „Powstańcy! Rozkazuję do żądań powyższej ode-  
zwy zastosować się bezwzględnie i uzgodnić z nią wszelkie  
zarządzenia...“

Przerwał, zmiął kartkę i wściekłym ruchem cisnął  
ją w kurz drogi, po czym dyszał ciężko, jakby z ogrom-  
nego utrudzenia.

— Na, cóżśaś się tak dziwosz, choćby sowa na gniaź-  
dzie? — spytał wąsał szarpiąc go za ramię. — Dyć widzisz,  
iż tak jest, jakech ci padoł. Praczka z Germanami skoń-  
cóno.

— Zawrzyj pysk, tulejo, mamlasie, stary łośle! —  
wrzasnął plutonowy przyskakując doń z pięściami. — Mie-  
chcesz za błozna robić? mie? Pierona kandego, jako ci sie  
zdo, iżę Germany pódą spadki? Jeny na to czakali, co-  
bychmy sie cofli, wiys, soroniu?!

Jał się targać za włosy, dławić jakimiś strasznyymi  
przekleństwami, a wreszcie szloch wstrząsnął jego bar-  
kami.

— Psiniec bydzie z Łopolo... — warczał przez zęby  
— psiniec ze Strzelec, kaj moja łojcowizna, psiniec z coł-  
kiygo Górnego Śląska... Terazki kóniec, jużśaś kóniec...

Powstańcy, zdążający do domu, gapili się na plutonowego marszcząc brwi i coraz spluwając na ziemię. W myślach ich zapanował zamęt. Dopiero teraz zrozumieli, że zbyt nieopatrzenie postąpili opuszczając front. Zachmurzeni gryźli wargi, aż wreszcie jeden z nich rzekł:

— Mi sie to zarozki zdowało cygaństwo. Bo ja'kóż? Przeca służólech przy jedynastym regimencie za Germana, toć wiym, iże kromie łoficerów nie lza słuchać żcdney łodezwy. Mosz prawie, chopie — zwrócił się do Mira. — Blank źlechmy ucynili, tóż terazki jo z moim synkiym ida spadki, do pola.

— Ja, Mitas dobrze pado — zawtórowało kilku. — Trza nóm iść spadki.

W tejże chwili z za zakrętu drogi ukazał się maszerujący oddział hucząc rozgłośnym śpiewem:

Poszła Karolinka  
Do Gogolinka,  
A Karliczek za nią,  
Jak za młodą panią  
Z flaszeczką winka.

— Kaj to idziecie? — plutonowy zastąpił maszerującym drogę.

— Cóżzaś im do tego? — odszczeknął jeden z powstańców.

— Stul pysk, pieronie głupi, a godej, kaj idziecie? — zakrzyczał plutonowy.

— Na, do dóm — łagodniej odpowiedział tamten.

— Do dóm?!... — zachrypiał plutonowy. — A jużes sproł Germanów, jedyn z drugim, iże sie tak śpiechosz do dóm?! Nawracejcie zaś wszyjscy, a już!

— Przeca łodezwa... — zaprotestował ktoś nieśmiało.

— Skoc mi na pukiel, soroniu stomilionski, z twoją łodezwą! Zawracej, jeny gibko, bele sie na fróncie Germany nie spokopili, co wos już niyma! Skądżeście łodeśli?

— Łod Gogolina — padła odpowiedź.

— Łód Gogolina? Tóż śpiywasz, iże „Karolinka poszła do Gogolinka“, ty zaś idziesz spadki? Zawracejcie mi, a już!

Lecz tamci nie myśleli ustępować. Zmarszczeni, szykowali się do usunięcia zawalidrogi siłą, gdy wtem zza skreću ukazały się drabiniaste wozy.

— Zleźcie z cesty. Rannych wiezimy! — krzyknął jadący na czele kolumny.

Powaśnieni przeciwnicy usunęli się na bok. Obok nich zaczęły przejeżdżać wozy z rannymi, rozciągniętymi na słomie, nakrytymi szmatami. Nad kolumną pałętały się jęki, płacze, skargi. Odcinały się twardo trupy, ptasie profile; oczy zgorączkowane, dzikie lub błędne, przerażone lub obojętne, jakby niewidzące, świadczyły jedynie o życiu transportowanych. Niektóre twarze osłonięte przed gorącym ręcznikami. Jechali, jechali, zda się bez końca: kompania, a może batalion. Jechali, jechali i jechali: zarośnięci, pokrwawieni, wychudli, jedni na pozór cali, inni poprzetręcani, leżący jak trupy lub spowite w bandażu szczątki rozszarpanego mięsa.

— Skąd to, koleks? — plutonowy zagadnął konwojenta.

— Łód Gogolina — odrzekł tamten. — W nocy Germany zakutali nos do imentu.

— Czamu to?

— Czamu? Na, kiej sie mocka chopa cofło z linii, Germany ucynili „Angrif“ i zbyte.

Plutonowy, czerwony jak indyk, odwrócił się do powstańców.

— Słyszycie? — spytał.

Ci spuścili oczy, nic nie odpowiadając, lecz po chwili uformowali się w szpaler, bo spostrzegli, że na nadjeżdżającym wozie, zsunięty na sam brzeg leży, wyprostowany jak na „baczność“, człowiek z białą-błękitną opaską oficerską. Nieruchoma twarz bielała jak maska gipsowa. Dokoła otwartych ust brzęczały muchy.

Powstańcy samorzutnie sprezentowali broń, jak przy przejściu pogrzebu.

Wtem twarz rannego ożyła. Nadludzkim wysiłkiem dźwignął się, oczy nieprzytomne, pełne piekielnego ognia, wparł w stojących na boku drogi; przez drobinkę czasu wydawał jakieś nieartykułowane dźwięki, a wreszcie z całej mocy zakrzyknął:

— Powstańcy! Naprzód! Naprzód!

---

Szli lasem starokozielskim. Olbrzymie sosny stały jak wspaniała kolumnada bursztynowych słupów, nakryta stropem zielonym, poprzecinanym błękitem.

Szli mając radość w sercu, światłość w oczach.

Szli dążąc ku brzegom Odry, rozradowani spełnieniem ich marzeń, rozradowani wiosną, która pokryła bór jasną zielenią, a kobierzec mchów ustroiła w białe saski, młode jagodziny i w ząbkowaną paproć.

Szli beztrosko przed siebie, a słońce grało nad nimi tęczę barw, skowrończym śpiewaniem lub — u ich stóp — skrzypieniem koników polnych, różnolitym życiem przyziemnych stworzonek.

Od czasu do czasu ciszą lasu targnął daleki bas armat, wszelakiej grozy już wyzbyty, zwiędły, konający pośród szerokich konarów, które drżały i chwiały się, jakby przestraszone niezrozumiałym dla nich dźwiękiem.

I znów była cisza, pachnąca rzeźkim zapachem lasu, kojąca uszczęśliwionych kadetów niby matka obietnicą czegoś radosnego.

Jakoż było się czego radować, bo dążyli przecie ku Odrze, prapolskiej rzece, w której ongiś rycerstwo króla Chrobrego poilo rozbiegane konie, gryzące niecierpliwie wędzidła w oczekiwaniu na starcie z wrogiem.

Spadkobiercy tych rycerzy, którzy również śpieszyli przeciw odwiecznym łupieżcom germańskim, przy-

wykłym żywić się zagrabioną zdobyczą, jakże zewnętrznie byli inni od przybranych w świetne zbroje naddziadów.

Nie kroczył przed nimi giermek niosący paizę złoci-  
stą. Nie obciążyli swych głów stalowymi szłomami: ni  
mieczem dwusiecznym lewe biodro.

Nie, o nie! Niczym nie przypominali jednolicie i bo-  
gato przybranych naddziadów, bo miast pancerzy mieli  
na sobie robotnicze bluzy, szaro-zielone koszulki lub po-  
prostu cywilne marynarki. Zato byli uzbrojeni od stóp  
do głowy, przepasani ładownicami i licznymi rzemieniami,  
na których kołysały się torby, bagnety, rewolwery — nie-  
raz prawdziwe skarby, zdobyte z narażeniem własnego  
życia.

A cóż ty, potomku hetmański!? Czemu nie masz, jak  
twój pradziad, na zbroję złocistą narzuconej delii bogatej?  
Czemu nie hasasz na ścigłym rumaku dzierżąc kopię  
w rękę a ciężki koncerz mając pod kolanem? Gdzie szy-  
szak ze strusimi pióry, gdzie skrzydła chrzęszczące u ra-  
mion?

Idziesz oto zgarbiony pod plecakiem i miast rycer-  
skiej marsowości masz na dziewczęcej twarzy uśmiech  
beztroski. Przybrałeś furażerkę kwiatami, założyłeś ich  
całe wiązanki za każdą sprzączkę. Rozbawiony i rozra-  
dowany wyglądasz, jak wiejska panna młoda.

Cóż to ci tak znieńacka spoważniała twarz? Czy  
z nadchodzącym zmrokiem cień padł na nią? Czy cię  
otrzeźwiła świadomość nieuchronnej walki z wrogiem  
i teraz strach wpęła ci za koszulę? Czemuż to beztroskie-  
mu zawsze Zakrzewskiemu ciemnieją oczy? Czemu zaś  
smutny dotąd Toczyłowski promienieje nad podziw?  
I — czemuż z waszych ust, kadeci, wydziera się okrzyk  
pełen dumy, radości, zachwyty?

Ach, prawda! O kilkaset metrów od was jaśniej-  
sz rzeka niby szeroki biały pas, okraszony resztką purpury  
zachodzącego słońca. Brzegi spowija mgła. Szare fale  
płyną ociężałe szumiąc bezgłośnie:

— Chłopięta, polskie chłopięta, cieszcie się, bo odwieczne waszych praojców marzenia teraz urzeczywistniacie. Przed rokiem pochłanialiście oczyma fale Dniepru pod Kijowem, a dziś poicie wzrok i słuch moimi nurtami. Przebiegliście szlak Bolesława Chrobrego, przeto coś piękniejszego może was spotkać w życiu?...

Kadeci zapatrzyli się w otoczone blednącą łuną elektryczności Koźle i Przysań Kozielską, roziskrzone niezliczonymi punktami świateł, rojące się od ludzi i statków — chłonąc ów widok jak czar ziszczonego pragnienia.

Byli szczęśliwi.

## VI.

A więc znaleźli się wreszcie na wymarzonym froncie. Byli na wojnie, którą witali tak, jak się wita ładną dziewczynę mając szesnaście lat: z przesadną pewnością siebie, skrytym oczekiwaniem i — z odrobiną wzruszenia.

Wyznaczono im pozycje na skraju wielkiego łuku lasu. Za zielonymi płatami pól, przeciętymi linią niemieckich okopów, rozkładała się jak na dłoni wieś Żyrowa, otulona kępami drzew, świecąca w słońcu białymi ścianami, ozdobiona śpiczastym dachem wieży kościelnej.

Kompania, w której skład wchodził kadeci, okopała się jako tako w twardej ziemi, powiązanej korzeniami. Za plecami, z gęstwy, wiał orzeźwiający chłód. Dzień zapowiadał się pogodny i ciepły. Zakryta ścianą świerków, huczała po prawej ręce Góra Świętej Anny. Powstańcy odpowiadali z rzadka na strzelaninę mierząc w czerwone dachy miasteczka.

Żytkiewicz majstrował koło karabina maszynowego; co chwila podnosił się z triumfalnym „nareszcie!“, mierzył, naciskał z namaszczeniem sprężynę, rozkładał ręce bezradnie i zabierał się z powrotem do pracy. Lipa rozdzielił między kolegów tabliczkę czekolady. Posadzali go,

że ma drugą w kieszeni. Oburzał się głośno i wzywał niebo na świadka ich niegodziwości.

Gorzej było na lewym odcinku. Skrzyżowanie dróg, pod Krempeńskim lasem, trzymał batalion Szendery. Tam też kierował się cały ogień z Żyrowej i Góry Świętej Anny. Mówiono o kilkunastu zabitych. Sam Szendera obchodził pozycje z ręką owiazaną szmatami, z których ciekła krew.

Około dziesiątej, nagle gdzieś od strony wroga, rozległ się wystrzał armatni, niby daleki potężny gong wzywający olbrzymów do walki. Zaledwie doleciał dźwięk wystrzału, a już leci pocisk. Kadeci go nie widzą, a przecież mogliby w powietrzu nakreślić jego tor, tak wyraźnie oznajmia go charakterystyczny przeciągły syk. Nasilenie i ton syku zmienia się w miarę tego, jak pocisk się zbliża. Chyba dlatego, by kadeci zdążyli polecieć Bogu duszę. Jest to jakby dźwięk „szsz“, który początkowo szeleści w tonie wysokim i cichym, potem, w miarę nadlatywania, w coraz niższym i silniejszym sza! — zdaje się wołać ten głos z nieba i rzeczywiście: ktokolwiek co mówił, odruchowo przerywa i zaczyna nasłuchiwać.

— Sza! — pach-pach! — gruch!... — łagodny, pieszczący ucho syk czy szelest przerywa nagle brutalny wybuch pocisku. Szrapnel. Poznać go po odgłosie: ni to huk, ni to trzask — coś, niby nagłe rozdarcie gdzieś w górze olbrzymiej sztuki płótna.

W miejscu wybuchu widać w powietrzu zastygły kawał waty. To kłak białego dymu, który będzie się trzymał jakiś czas nad głowami powstańców jak groźne memento. Wybuchowi szrapnela towarzyszy skowyt jego kilkunastu odłamków i paruset kulek, wyjących na różne tony, zależnie od kształtu, wielkości i odległości od słuchacza.

A słuchacz myśli: już po mnie! Ale gdzież tam! Wybuch był za wysoki i za daleki — przeniosło. Chwała Bogu!

Lecz artyleria niemiecka — nie frajer. Gdzieś, na odległym punkcie obserwacyjnym niewidzialnej wrażej baterii, już pewnie błąd skorygowano. Podano nową odległość. Padła inna cyfra dla „kwadrantu“ oraz „celownika“ i nowa komenda, wykonana bezzwłocznie, zaraz, natychmiast, a co najważniejsza — sprawnie przez bombardierów i kanonierów.

Więc oto znów daleki wystrzał, znów coraz bliższy syk i szelest, a potem — łoskot wybuchu: szelest odłamków. Tym razem pocisk za krótki — czyli odległość, wyliczona na punkcie obserwacyjnym — za mała. Ale już błąd mniejszy niż za pierwszym razem.

Kadeci dostali się — mówiąc językiem artylerzystów — w widły. To znaczy, że dwa pierwsze celowniki — za długi i za krótki — już ich wzięły w środek niby w cęgi, które będą się zwierzały coraz bardziej i zbliżały do celu.

Trzeci pocisk był jeszcze lepszy, to znaczy: dla kadetów gorszy. Już nie szeleścił, lecz zahuczał od razu, jak olbrzymi trzmiel, wypełniony ołowiem. Pękł z łoskotem piorunu i zawył setką odłamków. A wszystko stało się tym razem tak szybko, że nikt nie zdążył się przestraszyć; wszyscy raczej trochę spoważnieli.

Wielewski groził pięścią w kierunku niewidzialnej baterii. Toczyłowski wodził oczyma po niebie, jakby szukał śladu kul żłobiących powietrze. Chodkiewicz czyścił kawałkiem słoniny zardzewiały zamek niemieckiego karabina. Zakrzewski, rozciągnięty jak na majówce, z łokciami wgniecionymi wygodnie w kretowisko, opowiadał przykucniętym pod krzakiem powstańcom jakieś niestworzone blagi. Słuchali go z nabożeństwem, chwilami wybuchając jak na komendę głośnym, rubasznym śmiechem.

— ...a ci się grzmocą po łbach. Ja se myślę: wkroczyć, czy nie wkroczyć? Czekać, aż się potłuką, czy zaskoczyć ich znienacka, gdy się całkiem zacietrzewią?... Ja byłem jeden, a ich dwóch: czujka bolszewicka... I o co się ci dranie tak prali, wiecie, koledzy? O śmierdzącą słoninę.

którą równocześnie na drodze ujrzeli, a którą ja poprzedniego dnia wyrzuciłem z plecaka, bo się w niej robaki załęgły...

Nie skończył, bo oto gdzieś, daleko, zahuczały wybuchy serii pocisków, zaskowyczały odłamki, zatrzęsa się ziemia, a pęd powietrza rzucił skupioną przy Zakrzewskim gromadkę w piasek. Wygrzebywali się z dość głupimi minami. Lipa macał się po bokach. Czyżby mimo wszystko udawał dobry humor.

— Liczysz kości, Lipa? — pytał z głupia frant.

Zagadnięty wstał, bezradnie się rozglądnął; niewyraźnie uśmiechnięty wydobyl z kieszeni połamaną tabliczkę czekolady, podzielił sprawiedliwie na równe kawałki.

— Żebyście potem nie mówili, chamy...

W tejże chwili gdzieś, daleko, nad lasem, zaczął padać deszcz nie deszcz, a może grad... Lecz nie. To po prostu na linii placówek nieprzyjacielskich rozpoczął się rżesisty ogień karabinowy i z maszynówek. Teraz przybiera na sile. Zbliża się i jest coraz gęstszy. Artyleria, która przez jakiś czas milczała, znów zaczęła kropić od razu z kilku dział.

Wtedy to od strony batalionu Szendery przyszedł Władowski, którego chłopcy nie widzieli jeszcze od czasu spotkania się w Sosnowcu. W zielonym cywilnym ubraniu, z rewolwerem za pasem i trupa czaszką na czapce, wyglądał jak zbój.

Przyszedłszy wykrzywił twarz w jakimś niesamowitym kurczu, co widocznie musiało u niego oznaczać uśmiech, i ryknął:

— Komu zimno, niech się ogrzeje, a potem wraca do Lwowa. „Pietra“ macie?

— Nie, panie kompanijny!

— To źle! Powinniście mieć!

Z przewieszzonej przez ramię torby wyciągnął owinięty w gazetę, może z trzy kila mający kęs „knobloszki“

(kiełbasy z mielonego mięsa) i kilka paczek papierosów z czarnego tytoniu.

— Macie! — rzekł. — Podzielcie się sprawiedliwie! Zwędziłem to dla was w naszym kasynie.

— Co słyhać na froncie, panie kompanijny? — Żyt-kiewicz odważył się na pytanie. — Jest co nowego?

Władowski nie zaraz odpowiedział. Siadł na ściętym kłocu, odkorkował manierkę, przytknął ją do ust i łykając głośno pił długo. Wreszcie splunął, podał flaszkę najbliższemu siedzącemu, po czym warknął:

— Masz, pij! Na froncie krom świstu kul oraz wybuchu pocisków nic więcej nie słyhać. Na wojnie nie ma nigdy nic nowego.

Na kartce wyrwanej z notesu smarował jakieś cyfry. Parę kul bzyknęło od pola; zagniewany podniósł głowę i znowu zatopił się w swych rachunkach.

Zapanowało milczenie. Władowski smarował i smarował, a wreszcie, wlepiwszy oczy w podwładnych, spytał:

— Który by z was chciał iść na patrol?

Jak jeden wszyscy zerwali się z ziemi.

— No, tylu nie potrzeba, tym bardziej, że ów patrol, to nie byle jaka sprawa. Chodzi mi o przejście przez linię niemieckich okopów i wywęszenie, czy to prawda, że wielkie siły nieprzyjaciela, składające się po większej części z żołnierzy Reichswehr'y, skoncentrowały się po lewej stronie Odry.

— Ja pójdę, ja!... — krzyczał jeden przez drugiego.

— Nie róbcie takiego harmidru, bo Niemcy pomyślą, że się ich boicie. Pójdzie.... — przekreślił wzrokiem kade-tów — Toczyłowski!

— Toczyłowski? taka oferma!... — pisnął oburzony Zakrzewski.

— A tyś to pewnie rycerz bez skazy? — warknął zelżony.

— No pewnie, że nie taki towarzysz pancerny jak ty,

co w czasie szermierki na bagnety wywijasz karabinem, jakbyś się przed psem oganiał.

— Dosyć! — Władowski przeciął kłótnię. — Pójdziecie obaj. Plutonowy Mir was poprowadzi. Przed wieczorem macie być gotowi do odmarszu.

Schował próżną manierkę do torby, podniósł się, a odchodząc rzekł:

— Trzymać mi się, chłopcy. Przecież wy jesteście kadeci, nie? A więc: cześć, czołem, czuwaj!

Uszedłszy kilka kroków przystanął i dodał:

— To nie jest znów takie straszne, prawda?

— Tak jest, panie kompanijny! — potwierdzili kadeci.

— — — — —  
Był pogodny wieczór, gdy przed kwaterą pułku pszczyńskiego Władowski objaśnił trójcy ochotników ich zadanie. Przy świetle latarki elektrycznej rozwinął mapę i mówił:

— Nasza sytuacja jest następująca: trzymamy front mniej więcej od toru kolejowego Opole—Wielkie Strzalec, przez Duży Kamień, na zachód od Gogolina po Krapkowice, następnie na zachód od Kędzierzyna, wzdłuż prawego brzegu Odry aż do Starego Koźła. Widzicie?

Oczy chłopców jakiś czas płątały się nieporadnie po kreskach i znakach mapy specjalnej, a wreszcie wyłuskawszy poszczególne miejscowości na znak potwierdzenia, że widzą, kiwnęli.

— Byłoby pożądanym — zaczął znów Władowski — abyście przyprowadzili jeńca i to takiego, od którego można by się było czegoś dowiedzieć. Jak donosi wywiad, odcinek nasz zajmują trzy wyborowe bataliony bawarskie z grupy „Chapuis“. Należy się dowiedzieć, czy spodziewają się one jutro nowych posiłków. W walkę się nie wdawać. Gdybyście zaś wpadli do niewoli, to pamiętajcie, że Niemcy łamią jeńcom przed rozstrzelaniem wszystkie kości — wspomniał, zaś na pożegnanie kazał wydać patro-

lowcom po pół menażki zimnej kawy, zmieszanej z kartoflanką, po pięć papierosów i po paczce tabaki, z którą nie wiedzieli, co robić.

— No, cześć! — zakończył. A ty, plutonowy, — zwrócił się do Mira — pamiętaj, abyście wyszli cało, bo inaczej!...

— Nie starają się nic, panie kómpanijny. Eydzie wszyjsko klapowało jak pieron!

— Tylko bez potrzeby nie róbcie alarmu, bo i tak wam nie poślę pomocy.

— Kataćtam!

— Idźcie z Bogiem!

— Łostaną z Panym Bogiym!

— — — — —  
Zagłębili się w bór czarny, tajemniczy, który, nie poruszany żadnym powiewem, milczał, jakby się skupiał i rozważał, czego szuka w jego gąszczu trójka niedorostków. A ci owinęli rzemień karabina koło prawego przedramienia, dłoń obłapiła lufę, zaś bagnet poleciał skośnie w górę.

Szli po cichu, prawie że na palcach, prawie każdy krok obliczający. Całe wojsko było diabło szczupłe, choć waleczne. Nie trzeba przynajmniej wydzielać w marszu straży przedniej, ni tylnej — nie ma mowy o szperaczach. Trójka stanowiła jedną grupkę szperaczy, szli więc razem.

Ciemno, choć oko wykol. Jakże łatwo natknąć się na placówkę nieprzyjacielską i zostać znienacka wziętym do niewoli. Ale trudno — kto nie ryzykuje, w kozie nie siedzi.

Noc, z początku bardzo ciemna, stawała się zwolna jaśniejsza i wreszcie przez szczeliny koron, między gałęziami, zamigotały gwiazdy. Dla patrolowców była to okoliczność bardzo pomyślna, bo przynajmniej, wyłuskawszy z plejady gwiazdozbiorów potężną Niedźwiedzicę

i przyjaciela jej Oriona, legendarnego ognistego rycerza, co z mieczem prostym u pasa oraz z rozpostartymi rękoma leży na niebiosach we wschodniej stronie — można się było orientować w marszu.

Niebawem las zaczął prześwitywać. Odbezpieczyli tedy karabiny, dążyli skokami od drzewa do drzewa, przełazili przez jakieś wykroty, przez całe gąszcze popłatanych ożyn, aż na koniec znaleźli się na skraju jakoby tunelu, między dwiema ścianami boru.

Tu odpoczęli, zorientowali mapę i przekonali się, że są na krańcu lasu Krempieńskiego, skąd należy dostać się przynajmniej pod Jesionę.

Lecz gdzież znajdują się Niemcy? Czy już patrol przeszedł ich linię, czy nie?

Właśnie gdy głowiąc się nad tym ruszyli szparko do przeciwnej strony leśnego tunelu, wystrzelił niespodziewanie jasny snop światła i począł obmacywać lubieżnie cały teren przesieki. Chłopcy jak jeden padli na ziemię. Cisza nocna wisiała nad nimi, jak jakaś wielka czarna antena. Nie można było głośniej chrząknąć, aby echo nie pochwyciło tego i nie poniosło na wszystkie strony. Nuż go dopędzi i wykryje ten błędny promień światła, zawsze głodny krwi szpieg i zdrajca, stręczyciel nieprzyjacielski i dostawca celów dla ognia.

Tymczasem reflektor na drobną miareczkę czasu zgasł, po czym znów skierował swą potworną źrenicę wprost na trójkę powstańców. Smuga światła wzięła patrol w objęcia. Za chwilę pewnie, z odległości paruset metrów, zacznie się ogień.

Jakoż tak się stało. Piu-iu, piu-iu, piu-iu, piu-iu! — cztery świsty nad uszami. Patrolowcy przycisnęli się do miłosiernej ziemi i znowu: piu-iu, piu-iu! — gwizdowi kul zawtórował zaraz z oddali odgłos strzałów — coś, jakby suche klaśnięcia jakichś potężnych dłoni: taku, taku! Piu-iu, piu-iu! — i znów zaśmigały złowrogie jaskółki. Każdy gwizd — tak szybki jak myśl, a tak krótki jak uderzenie

gromu. Nie uderzy w człeka kula, która już gwizdnęła i przeleciała. Ale uderzy weń mocniejszy od niej i od niego strach. Sparaliżuje ręce i nogi, zamroczy umysł i nagle podniesioną głowę ku zbawczej ziemi.

Co robić? Czekać na tej gładkiej i równej jak stół przysiece bez pokryć i fałd terenowych, bez żadnych „martwych pól“ i ukrytych podejść. Tu nie pomoże spryt, zręczność, doświadczenie, wyszkolenie. Tu albo trzeba niewidocznie dopęłzać do odległej o kilkanaście metrów ściany boru, albo żeby coś istotnego zbadać, trzeba iść wprost na strzały, na światło lecące z Jesionej. Bo przecież powinno się dojść do tej wsi, powinno się wziąć jeńca.

A smuga reflektorowa nieustannie węszyła, nieustannie myszkowała. To skakała łukiem w bok, to wałęsała się po przysiece, to wylatywała nagłym rzutem aż na ginący gdzieś w głębi kraniec leśnego tunelu i znowu powracała na miejsce, gdzie leżeli patrolowcy, zda się, że przyciskała ich swą rozczapierzoną łapą, aż każdy oddech wstrzymywał rozplaszczając się w nieistniejącej wklęsłości gruntu.

Plutonowy dźwignął nieznacznie głowę, aby zerknąć na towarzyszy. W tej samej chwili oczy jego w smudze reflektorowej, błędzącej teraz po zbawczej ścianie lasu, ujrzały trzy żwawo poruszające się cienie.

— O wy pierony! — syknął przez zęby.

Jeden z cieni podniósł rękę, machnął nią kilkakrotnie i wnet światło zgasło. Nie tracąc czasu plutonowy szarpnął kadetów, po czym razem, ile sił w nogach, schyleni we dwoje, pomknęli do boru, z którego przed chwilą wyszli.

— Widzieliście chopki? — Zakrzewski z Toczyłowskim usłyszeli szept pytania skinieniem głów potakując w odpowiedzi.

— Dejcie się pozór! Oni przydą na ta stróna, tóż dziepiyro musimy tak na nich skoczyć, iżby się nie spo-

kopili. Ja, ale to trza mieć faronowo krzepa w garści, co-by tamtym wydolić.

Kadeci jeszcze raz kiwnęli głowami, gotując się zarazem do skoku, bo trójka cieni miała za chwilę ukazać się obok ich kryjówki.

Nagle Toczyłowski poczuł swędzenie w nosie. Przycisnął tedy palcem górną wargę, aby unicestwić kichnięcie i przy tym ruchu zawadził spustem karabina o gałąź.

Gruchnął strzał, który zbliżające się cienie posłyszawszy, momentalnie zawróciły biegnąc na przeciwną stronę przesieki.

Wtedy Mir z Zakrzewskim bez wahania wycelowali i pociągnęli prawie że jednocześnie za spusty.

Ozwały się dwa suche, donośne kłaśnięcia, które śnać dogoniły uciekinierów, bo jeden z nich zatoczył się, przykłęknął, a wreszcie zaczął iść jakoś dziwnie, jakby na załamanych nogach. Teraz upadł... Podniósł się z widocznym wysiłkiem... Znowu upadł i, zadarłszy głowę, zawył martwiejącym głosem:

— O Her Jee!... O Her Jee!...

Lecz towarzysze na jego wołania wcale nie zważali. Rwali przed siebie jak zające i niebawem ciemność przeciwnego lasu zawarła się za nimi nieprzeniknioną ścianą.

Plutonowy przyzywającym gestem ręki skinął na kadetów, skoczył do rannego. Przybiegł doń właśnie w chwili, gdy ten szamotał się z wiszącym mu u pasa rewolwerem, śnać chcąc z niego zmierzyć do powstańca.

Jeden cios i rewolwer wyleciał z rąk rannego.

— Biermy go, karlusy i kludźmy ku naszym, bo sie nóm za nieskorzy wszystkie Germany zwałą... Na, tóż dźwignij sie, pieronie, bo cia przez łochyby zakłupia!...

Jeniec powstał, słaniając się na nogach, po czym Toczyłowski ujął go pod jedno ramię, Zakrzewski pod

drugie, plutonowy zaś z tyłu poganiał Szwaba ostrzem bagnetu.

---

Bez żadnych przeszkód wrócili do swoich. Setnie się zmęczyli, bo jeniec, trafiony w nogę, z niezaopatrzoną raną, często im mdlał z upływu krwi, więc go musieli niemal na plecach dźwigać.

Po oznajmieniu się placówkom powstańczym, po wypowiedzeniu hasła przekroczyli własne okopy i tu spotkał ich pierwszy Chodkiewicz pełniący wartę.

— Karolinko, albośmy to jacy tacy! — zdyszany głosem zaczął Zakrzewski. — Jeńca wzięliśmy na patrolu. Chociaż moglibyśmy mieć trzech, gdyby nie ta oferowana mumia Toczyłowski. A ty co? Wytężasz słuch, jak w „Weselu“ Wyspiańskiego?

Z ciemności wychynął Władowski.

— Jesteście? To dobrze. Macie jeńca?

— Tak jest, panie kompanijny!

— To byczo! Gdzież on jest?

— Rusz się, pieronie!

— O, do diabła! — warknął Władowski zaświeciwszy jeńcowi w twarz. — Student! No, od tego powinniśmy się dużo dowiedzieć. Spocznijcie tutaj — rzekł do patrolowców. — A wy — tu skinał na powstańców, z którymi przyszedł — bierzcie tego drania i zaprowadźcie go do dowództwa pułku. Niech go tam opatrzą, po czym zaczę przesyłuchy.

Oczywiście trójka patrolowców stała się bohaterami dnia, a raczej nocy. Przyniesiono im kawę i chleb. Władowski wydłubał ze swej torby flaszkę rumu. Zakrzewski zaczął opowiadać, gdy tymczasem plutonowy Mir zwinął się w kłębek na skraju okopu i zasnął.

— I patrzcie, co za oferma — kończył Zakrzewski wskazując na Toczyłowskiego. — Gdybyśmy tak na szcze-

ście nie trafili, Niemcy by zwiali. A to wszystko z przyczyny tego pomnika z grobu samobójcy, najpierwszej ofeiry we wszystkich armiach świata...

Toczyłowski nic się nie odzywał, tylko roniąc łzy wstydu kurczył się pod gradem docinków dotąd, dopóki jego prześladowca wraz ze słuchaczami nie ułożyli się do snu. Czuł się ogromnie nieszczęśliwy i samotny. Czuł się ogrom-



*Kadet kapral ZYGMUNT ZAKRZEWSKI*

*połegł w trzecim powstaniu górnośląskim pod Gogolinem dnia 21 maja 1921 r.*

nie winny, więc, połykając gwałtem płynące łzy, dusił w sobie żal, że omal mu piersi nie rozsadziła.

Wtem ktoś cicho szepnął tuż nad nim:

— Zygmsiu. Idź spać, już późno...

Podniósł głowę i w świetle księżyca ujrzał zeszczuplałą twarz Chodkiewicza, który jął go gładzić po twarzy.

— Nic się nie martw — mówił cicho. — Nim się skończy powstanie, zmażesz swą nieumyślną winę i jeszcze krzyż dostaniesz. Zobaczysz!

Toczyłowski nie był w stanie słowa przerzec. Objawszy Chodkiewicza wybuchnął na jego piersi szlochem ulgi.

## VII.

Wzięty na spytki jeniec zeznał, że należy do ochotniczej grupy akademickiej, zwerbowanej w Bawarii, w której pełni funkcję dowódcy plutonu. Lekceważąc powstańców udał się z dwoma podkomendnymi na zwiady, które się tak smutnie dlań skończyły. Zeznał też, jakoby w kwaterze niemieckiej dwa ścierające się ze sobą obozy — z których jeden, gen. Hoefera, był za wyczekiwaniem, aż Niemcy uzyskają mandat wkroczenia na Śląsk a drugi, gen. Hülsena, będący rzecznikiem czynnego działania — uzgodniły swe poglądy postanawiając z całą siłą uderzyć na wojska powstańcze.

Jakoż miało się to niebawem stać faktem.

W tym czasie pluton kadecki został wycofany z okopów i przeznaczony do służby patrolowej. Około południa kilkunastu z nich otrzymało rozkaz nawiązania łączności z oddziałami, stojącymi tuż pod Gogolinem, opuszczonym na skutek rokowań władz powstańczych z komisją międzysojuszniczą.

Gdzieś na lewym skrzydle snąć trwał turniej armatni, bo głuchy bas grzmotów prawie nie ustawał. Tu za to, w podległej Żyrowej, było spokojnie. Nad polami rozpościerało się niebo jasno-błękitne, przepojone światłem. Kadeci szli w pewnym oddaleniu od linii bojowej, mając na lewo nasyp kolejowy z rzędem słupów telegraficznych, a na prawo prostokąt pól, parę świerków, drogę wysadzoną białymi bukietami rozkwitłych czereśni: wszystko zamknięte połyskującymi wzniesieniami Górnej Świętej Anny, ubranymi w mury, dachy i ostry szczyt wieży kościelnej.

Prócz plutonowego Mira szedł z kadetami powstań-  
niec Mitas, który z czternastoletnim synem Francikiem od  
początku trwał na froncie. Obaj — ojciec i syn — to typowe „pierony”: energiczni, praktyczni, obrotni, z dużą werwą w ruchach i słowach.

Chłopcy wpatrywali się ciekawie w Górę Świętej Anny panującą nad całą nadodrzańską doliną. Plutonowy informował ich, że wznosi się ona na 300 metrów nad poziom morza, a tworzą ją bazalty i wapienie. Za pogańskich czasów było to miejsce czci i kultu, gdzie składano ofiary bożkom. Zwano je Chełm. Chrześcijaństwo wzniosło na szczycie kapliczkę, a już na początku czternastego wieku chwała świętej Anny otoczyła nimbem całą górę, zatarła dawną nazwę, stała się magnesem przyciągającym liczne rzesze pobożnych. Nimb ten był widomy, jawny. Widziano jasność okrywającą górę w dzień i w nocy. Roztaczała się ona nad kościółkiem świętej Anny, wystawionym przez pobożnych Krzysztofa Strzelę oraz jego syna Krystka. Kościółek był drewniany, a królowała w nim ta sama co dzisiaj „Babcia Chrystusowa“, „Anulka“, święta Anna Samotrzecia — półmetrowej wysokości posążek z bukowego drzewa, w myśl naiwnych pojęć średniowiecza przedstawiający babkę Chrystusową, trzymającą na ręku córkę i Boskiego Wnuka. Oboje w tym samym dziecięcym wieku.

Góra Świętej Anny — to symbol gorącej wiary Górnoślazaków. Poeta, ksiądz Aleksander Skowroński, tak o niej mówi:

Jak tve skały bazaltowe,  
Góro Chełmska, nie zaginą —  
Tak i prawa narodowe  
Śląska nigdy nie przemina.  
Jak twa skała  
Zawsze trwała,  
Śląska młódź tu zgromadzona —  
Zawsze harda,

Mężna, twarda  
Walczyć będzie niezwalczona.

Słuchając gadki plutonowego weszli w las. Jak kolumnada otoczyły ich ze wszech stron wysokie, rdzawe u góry sosny, dźwigające zielony dach z poprzębianymi tu i ówdzie oknami na niebo. Chodkiewicz przewiesił karabin przez ramię, przesunął furazerkę na tył głowy i szedł pierwszy dużymi krokami gapiąc się nie wiedzieć gdzie jak sroka w kość.

— Na, tóż można się tukej ździebko siednymy — zdecydował plutonowy.

Spoczęli, jak komu było wygodniej. Zaczęli nalegać na starego Mitasa, aby im opowiedział jakąś przygodę z wojny światowej. Powstaniec długo się wzbraniał, lecz wreszcie zaczął mówić. Mówił prędko, ale od czasu do czasu zacinał się jak karabin maszynowy, zwłaszcza że brakowało mu stosownych określeń, a ten zasób słów polskich, którym rozporządzał, przetykał często gęsto germanizmami lub zgoła niemczyzną:

— Na, cóżech to chcioł pedzieć... Ja, baić!... Przyszlichmy do „transzy“. Bóło nos można dziesińć, można dwacet tysincy chopa, sam, na takiej nowoci, choćby ta, cożechmy ją prześli. Zaś ale wszyscy z roztomajtych dwizyjów: tóż kiej kiery ni mioł „eiserne Kreuz“, dyć na takiygo „oberst“ wejrzoł, choćby na stomilionskiego gizda. Dziepiyro tak kole wiecora napocli „Trommel - feuer“, a ło świcie „handgranatki“ do graby i poszlichmy na „Angrif“, można z łozim lenijów jedna za wtorą. Trza bóło brać fort „Dumą“(\*), cy jako mu tam na miano... I wzięnichmy tego pierona, jeny jo już ku niymu nie doszoł, boć trefilichmy „richtig“ na fugasy i wszyjsko wyleciało do luftu, mie zaś ziemia przysuła.

Gdy Mitas umilkł, kadet Lityński rzekł do Chodkiewicza:

---

\*) Douaumont.

— Patrz, Karolinko. Tak mówi żołnierz o największej bitwie świata, o Verdun. Nasz Czekaliński zrobiłby z tego całą epopeję.

— Jakże on się tam, biedak, czuje we Lwowie? — westchnął Kasper. — Tak pragnął iść na Śląsk, z takim zapałem nas zagrzewał do powstania, a tu masz... przy-skrzynili go!

Zamyślili się. Przypomniła im się szkoła. Jakże też do niej wróć? I czy wróć, czy tu nie zginą? No, może, ale przecież nie wszyscy. Już w pierwszym dniu walk przekonali się, że na wojnie tak prędko się nie ginie. Zresztą każdy żywi tę nadzieję, że chociażby nawet cały pułk wybito do nogi, to on zostanie i będzie potem opowiadał w Korpusie, jak to było. Jeszcze się dla nich właściwie wojna nie zaczęła, a już każdy układa sobie w myśli te opowiadania.

Ale przed tym trzeba wrócić. Cóż to będzie za powrót! Staną na „baczość“ przed komendantem szkoły, pułkownikiem Jouganem, staną w potarganych koszulkach, z krzyżami na piersiach. Zakrzewski złoży raport. Oni zaś będą stali dumni, czując w kieszeniach w czworo złożono stany służby, pełne walecznych czynów. Będą budzić podziw i zazdrość wśród kolegów, a zalotne uśmiechy wśród pensjonarek. Eh, doczekać tego, doczekać!

— Kóńiec przerwy! — plutonowy podniósł się z ziemi. — Idymy przedsię!

Ruszyli. Wzięli się pod ręce. Na drzewach śpiewały ptaki; dołem niebiesko od przyłasczek, w górze niebo i słońce, i serce pełne słońca, że chciałoby się cały świat przycisnąć do piersi i dać mu kilka dziesiątek na piwo. Niech ma, niech się dalej cieszy.

W smudze światła zatrzepotał motyl i przepadł w gęstwinie. Niespodziewanie las urwał się, obrębiony płytkim rowem. Wyszli na miedzę, dzielącą dwa ogromne łąny. Od Żyrowej oddalali się z każdym krokiem. Górę Świętej Anny zostawili po prawej ręce, trochę z tyłu.

— Karol... — odezwał się Lityński.

— No?

— Po wojnie, jak skończymy budę...

— To jeszcze dużo wody upłynie...

— A może nawet przedtem... Pojedziemy w świat. Mniejsza, dokąd. W dal. Był taki włoski poeta, który opisywał dal. Lecz tego się nie da opisać. Pamiętasz, jak w Łobzowie stawaliśmy nieraz przed zmierzchem w oknie: dal zwidywała nam się gdzieś za kopcem Kościuszki. We Lwowie dal chowała się za drzewami parku albo na końcu gościńca stryjskiego. Tu pełno jej dokoła... Pojedziemy w świat, Karolu. Weźmiemy się pod rękę, po lewej stronie las i po prawej las. Środkiem droga, a nad głową niebo. I tak co dzień gdzie indziej, co dzień inaczej, co dzień dalej. To się nazywa żyć. Kiedyś wrócimy i coś się stanie, Chodkiewicz, coś się stać musi: tak, jakby-szabłą trzasnął, jakby jakieś drzwi rozwalił! Sam nie wiem, co...

— Eh, bajdurzysz. Ja o czym innym myślę.

— O czym znów?

— Czy zapomniałeś — Chodkiewicz ożywił się, a na ściągłą twarz wystąpiły mu rumieńce zapału — że przecież znajdujemy się opodal Odry, króla Bolesława „wiernej rzeki“?

— Cóż z tego?

— Jeszcze pytasz? Komuż, jak nie nam, powstańcom, danym jest ziścić najżywsze pragnienia narodu, rojone przez całe sześćset lat? Może być, że dzięki naszym walkom Polska ostanie się tutaj twierdzą warowną, fortem niezdobytym, i znów granice Rzeczypospolitej będą sięgać aż do Odry, aż do Dniepru...

Urwał ciężko oddychając. Pod lasem ukazały się dalekie jeszcze i mało widoczne dachy wioski. Szli teraz na przełaj zbożem, aż o kilkadziesiąt kroków od opłotków skręcili na polną drogę. Z karabinami gotowymi do strzału zbliżyli się do wsi od strony sadów.

I nagle gruchnięto do nich salwą. Równocześnie sta-

ry Mitas jęknął padając na ziemię. Z ucha kapłała mu krew.

— Na ziemia! Na ziemia! — krzyczał na towarzyszków.

Lecz plutonowy, nie namyślając się długo, skomenderował:

— A grzoć pierońskich mamłasów! Chopy, hurraa!

— Huraa! — odkrzyknęli kadeci i pognali ze wściekłym impetem naprzód. Sadzili w ogromnych susach, przeskakiwali zagony, młode zboże pętało im się między nogami, przewracali się, zrywali, a wiatr i kule gwizdały.

Dopadłszy wsi ujrzeli, jak kilkunastu Niemców drapało się na konie, ukryte za stodołami, i galopem pognąło w stronę Gogolina.

Powstańcy byli panami placu. Ostrzelawszy uciekających wkroczyli do wsi, która zdawała się jak wymarła. Żadnego dymu, żadnego śladu życia. Na wołania odpowiadało grobowe milczenie. W pełnym słońcu czyniło to niesamowite wrażenie.

Przetrzęsanie chałup i stodoł nie dało żadnego wyniku. Wszędzie te same, puste, parterowe domki; na płotach poszczerbione garnki; na lewo, przy samej drodze, wpół rozwalona szopa.

Właśnie za nią odsłonił się niespodzianie ponury, krew niemal mrozący widok. Oto na zdeptanej i zbrudzonej w płytkie, szerokie koleiny tłóce kieratowej leżały dwadzieścia trzy trupy straszliwie zmasakrowanych ludzi, otoczone rojem czarnych much, które z brzękiem obsiadły pokrwawione truchła.

Kilku miało — śnać uderzeniami kolb — rozbite czaszki tak, że aż mózg z nich zupełnie wypłynął. Dwom odrąbano ręce i nogi toporem, który leżał na pniaku unurzany w ludzkiej posoce. Wszyscy byli okropnie zbici, o czym świadczyły krwawosine pasy, czerniące się na ciążach. Leżeli rozmaicie. Jedni ustami przypadli do ziemi, którą w ostatnim krzyku skąsali zębami, zdarli połamany-

mi palcami, skopali popuchłymi nogami. Inni, rozwaleni na wznak, w kałużach skrzepłej krwi, poglądali w niebo niewidzącymi oczyma, jakby wzywając Boga, by pokarał ich katów. Jakiś mały, skurczony nieborak wtulił się w stertę kamieni, jak dziecko w łono matki; inny znów zwisnął przewieszony na płocie, ręce mu się zaś huśtały z jednej a nogi z drugiej strony balasek; jeszcze inny wyjątkowo miał oblicze nie poranione, lecz męczeńskie, trupio zszarzałe.

— Łobejrzeliście się to wszystko? — spytał plutonowy nieswoim głosem.

W odpowiedzi skinęli głowami.

— Muszemy ich pomścić.

Znów skinęli.

— Pierrony zakłète!... — wymamlał stary Mitas i podniósł zaciśniętą pięść do góry.

Teraz dopiero kadeci wiedzieli, po co przyszli tu, na powstanie. Teraz odsłonił im się rąbek zasłony dusz Ślązaków, przeważnie chmurnych, mściwych, od wieków krzywdzonych, którym zmasakrowane ciała męczenników, pręgi od bicia zaciekle krwią i połamane kikuty wskazywały drogę do Polski. Teraz dopiero pojęli, dla czego ci ludzie dopominają się o wolność tak, jak się dopomina o chleb, o wodę i — o powietrze.

— — — — —  
Po nawiązaniu łączności, powróciwszy do kompanii, kadeci zastali tam ogromne poruszenie. Oto rankiem tegoż dnia Niemcy, chytrze dotąd politykujący wobec komisji międzysojuszniczej, odsłanili właściwie swe oblicze i z orkiestrą na czele, w sile dwóch pełnych batalionów, w hełmach stalowych, znakomicie uzbrojeni i wyekwipowani, wkroczyli do Gogolina.

Właśnie kuchnia polowa podjechała z obiadem, gdy nagle z pobliskiego lasu zatrajkotał karabin maszynowy.

Zaledwie powstańcy zdążyli obsadzić okopy, gdy już świergotały zewsząd kule złe, wszędobylskie.

Z dała doleciał krzyk. Kadeci podnieśli głowy, widząc, jak między lasem a linią powstańczą biegło dwu ludzi wlokąc ciężkiego Maxima. Naraz salwa niemiecka rzuciła ich na ziemię, przy czym jeden pozostał bez ruchu, drugi zaś poderwał się, niezgrabnymi susy odskoczył parę metrów, rozpląszczył się na trawie, znów powstał mozolnie, z wysiłkiem i znów padł.

Niemieckie karabiny maszynowe huczały jak burza. Powstańcy przyglądali się bezradni, złani zimnym potem. Zdawało się, że to już koniec tamtego.

Tymczasem ów wsparł się na rękach, zadarł skrwa-wioną głowę do góry i zawył:

— Dejcie mi pomoc, dejcie mi pomoc!...

Dalsze jego słowa utonęły w trąkocie maszynek, które za chwilę wypełniły swą bezlitosną robotę.

Przed wieczorem ogień osłabł do tego stopnia, że w płytkim okopie można było wstać, przeciągnąć się i nareszcie trochę pożywić.

Wiatr przypędzał z lasu odór spalenizny. Za pobliskim sągiem drzewa ułożono ciężko rannego dowódcę prawoskrzydłowego plutonu. Zwalił się nagle z nóg, w chwili kiedy miał poderwać ludzi do natarcia. Z czoła lała mu się krew na włosy i trawę. Toczyłowski, trochę blady, z jeszcze bardziej niż zazwyczaj przerażonymi oczyma, podtrzymywał głowę rannego. Sanitariusz w czarnym długim surducie, poplamionym ziemią, grzebał w walizie szukając opatrunków. Opodał białą trup rozebranego do pasa powstańca. Na szerokiej, kowalskiej piersi widniały trzy czerwone plamki, na jednej linii, trochę na ukos. Paru Ślązaków gapiło się nań; piegowaty dryblas drapał się po rozczochranej głowie i fachowo objaśniał:

— Łobejrzyjcie sie. To „maszingwery“.

Z kwater przystano chleb. Na każdego powstańca wypadło ćwierć bochenka. Później mieli dostać zupe i papierosy.

Już słońce chyliło się za nieboskłon, gdy na flankach wsi coś podejrzanie błysnęło: raz, drugi, równocześnie w kilku miejscach.

Kadeci zrozumieli. Ogarnął ich strach, błady, śmiertelny strach podnoszący włosy na głowie. Owładnięci wspólną myślą, uprzedzili wszelkie rozkazy. Do zbawczej wsi! do zbawczej wsi! Ona wydała im się ratunkiem, przeto porzuciwszy okopy, biegli jak spłoszone stado. Nie słyszeli krzyku rannych, nie rozumieli niczego, pchani instynktem, który każe żyć — stracili wszelkie panowanie nad sobą.

Jeszcze dziesięć kroków, jeszcze pięć, jeszcze krok.

Nareszcie, zupełnie z sił wyzuci, ciągnąc za sobą z przyczyny braku naboju bezużyteczne karabiny, dopadli opłotków.

Podniosły się powieki, szeroko się rozwarły zalękłe, wyczekujące oczy, wzrok ześliznął się po piasku, po strątowanej trawie, ku polom...

Zamarli...

Ku łyskającej stalowymi hełmami grupce Niemieckiej, rozstawiającej pod lasem karabin maszynowy, biegło trzech ludzi.

W gardłach zdławił się krzyk:

— Chodkiewicz! Toczyłowski!...

Stary Mitas zacisnął pięści, aż chrupnęły.

— Francik, pieronie! Bo cia zatrzaska!...

A tamci biegli. Dwaj w niebieskawych spodniach, szarozielonych koszulkach, trzeci w przydługiej marynarce i zawadiackim kapeluszu.

Przyglądającym się były serca niepohamowanym rytmem. Jak zły sen znikło widmo błyszczących bagnatów. Sczeźł strach, gdy ujrzeni, że po darni smaganej kulami

uciekają teraz w stronę lasu zdeorientowani Niemcy.

— Pierona, nie wydzierża! — warknął Mitas i już miał biec naprzód z pomocą, gdy spostrzegł, że trzech chłopców bez niego dało sobie radę. Chodkiewicz zasiadł jako celowniczy, Toczyłowski podsuwał pas z nabojami, a Francik znosił skrzynki amunicyjne.



*Kadet kapral TOCZYŁOWSKI ZYGMUNT*

*poległ w trzecim powstaniu górnośląskim pod Gogolinem dnia 21 maja 1921 r.*

Maszynka zaparskała, pognąła Niemców jak batem, podczas gdy tkwiący w opłótkach wsi powstańcy nie śmieli spojrzeć na siebie.

Palił ich wstyd.

Gdy Niemcy w beładnej ucieczce znikli w mrokach lasu, trzech bohaterów odetchnęło. A tuż już przypadli do nich koledzy i dalejże ich czyn pod niebo wynosić, dalej wystawiać, lecz oni byli trochę oszołomieni.

Przyszedł kompanijny, wszystkich trzech po kolei uściskał, a najwięcej Chodkiewicza, po czym obiecał im „górnosłaską wstęgę waleczności“ po wojnie i po kawałku kielbasy na kolację.

Wreszcie zagadnął:

— Powiedzcież mi, co wam, u licha, strzeliło do łbów, że wbrew wszelkiej logice ważyliście się na tak zuchwały czyn?

Chłopcy milczeli ocierając o spodnie pocące się dłonie.

— No, Chodkiewicz, gadaj!

Kadet, trochę jākając się, zaczął:

— Kiedy Niemcy tak niespodzianie nas napadli, myśle: koniec. Jakże? Naboi nie mamy, a na bagnety jesteśmy za słabi. Patrzę, że Niemcy, nacierając, robią to dość ospale, jakby... jakby się trochę bali. I wtedy przypomniało mi się, co nam opowiadał sierżant-instruktor we Lwowie, że ten zwycięża, kto się mniej boi. Ano, patrzę, że kilku wlecze maszynkę. Jatki tu prawdziwe będą — myślę se — jak zdołają ogień otworzyć. Ustawili tę maszynkę, ale śnać im się zacięła, bo szarpia ją a szarpia i nic z tego nie wychodzi. Myślę sobie: a nuż nie zdążą otworzyć ognia? Mówię do Zygmunta Toczyłowskiego, który obok mnie leżał: masz strach? On powiada: „nie“. Jak nie, to skoczmy do maszynki, chcesz? „Chcę“. Lecimy... A tamci kierują na nas wylot lufy. Zabijają? Mniejsza. Ranią? Wszystko jedno. A zresztą: kto powiedział, że nam się coś stanie? Furda wszystko: naprzód! Patrzę, a tu z nami leci Francik. O, już nas więcej — to dobrze. Szwaby za spust, lecz ognia jak nie ma, tak nie ma. Co jest?... myślę sobie i biegnę dalej. A obsługa wciąż tam jeszcze coś przy maszynie poprawia. Podajnik się zaciął, jak się później okazało i — maszynka nasza.

Włodowski wysłuchał tej relacji, jeszcze raz uściskał Chodkiewicza i rzekł:

— Że jeden odważny żołnierz często podtrzyma od-

wagę całej kompanii, to wiem; ale żeby trzech żołnierzy, i to jeszcze niedorosłych, wykonało to, co cała kompania winna wykonać, pierwszy raz widziałem.

Obrzucił wzrokiem pozostałych. Twarz mu się ściągnęła, gdy dodał:

— Nigdy jeden tchórz nie zdemoralizuje odważnych ludzi, chyba jemu podobnych. Z drugiej strony powszechna łatwość paniki stwierdza niewielką ilość odwagi w tłumie. Zakrzewski! A ty znów co robisz?

— Wstydzę się, panie kompanijny — trzęsącym się głosem, roniąc gęste łzy, odparł chłopiec.

Władowski spojrzał łagodnie.

— No — rzekł — nie martw się. Jutro przed świtem każdy z was będzie mógł okupić dzisiejszą słabość. Wyśpijcie się, abyście znaleźli dość sił na niezachwianie się w ataku na miasteczko.

— Atak? Na miasteczko? — kadeci poruszyli się, jakby tknięci iskrą elektryczną, a oczy zapalały im radością.

— Tak, tak; lecz na wyprawę wezmę tylko takich, którzy się samego diabła nie ulęką.

— Nikt się nie będzie lękał! — uroczyście w imieniu wszystkich oświadczył Żytkiewicz.

— Zobaczmy, chociaż w gruncie rzeczy nie ma się czego bać. Ot, zrobimy sobie tak ćwiczenie praktyczne z geometrii.

— Z geometrii?

— Właśnie. Musimy wykurzyć Niemców, bo nam trochę linię wygięli. Przypomnimy sobie pewnik geometryczny, że najkrótszą drogą między dwoma punktami jest linia prosta. Więc pamiętajcie, aby solidnie rozwiązać zadanie i dać Niemiaszkom srogiego łupnia. A wy, bohaterowie dzisiejszego dnia, chodźcie ze mną. Miałbyście dostaniecie solidną kolację. Reszta — spać! Dobranoc.

— Dobranoc panu, panie kompanijny!

## VIII.

Któżby tam spał tej nocy! W ciasnej chałupie, przeznaczanej im na kwaterę, panował gwar jak w wyrojo-nym ulu. Każdy gadał, co mu ślina do ust przyniosła. Gadał, jakby chciał przegadać to, że jutro stanie się coś niebywałego. Jakże? Atak przecież!

— Żytkiewicz — pytał Kasper — jak cię zabiją, mo-gę sobie zabrać twój rewolwer?

— Możesz. I moje gacie też.

— Ciekaw jestem, jaki to będzie ów atak? — zaga-dnął Lipa.

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła. Poczekaj do świtu, a dowiesz się.

— Trzeba będzie chyba napisać list do domu.

— Po co? Jak cię zabiją, to i tak się o tym w domu dowiedzą, a jak zostaniesz żywy, szkoda papieru. Zresztą, gdzież tu myślisz pisać pożegnalną epistołę i na czym?

— Prawda, prawda.

W izbie nie było nawet stołu.

— Gdy cię tak bardzo spiera, że musisz napisać, to pisz na moich plecach.

— Owszem, kijem.

— Kto jak kto, ale Berber powinien napisać do tej świdrowatej facetki, co go oczkowała na defiladzie.

— Odwał się, bo cię kopnę!

— O co się ciepiesz? Napisz jej po prostu, że ją ko-chasz, że na razie żyjesz i że cię wszy gryzą.

— Oj, że gryzą, to fakt!

— Jakoś naszych bohaterów długo nie widać.

— Nie bój się! Przyjdą na pewno. Chodkiewicz by się z łańcucha zerwał, byle tylko nie stracić takiej okazji.

— Ale też ten Chodkiewicz... Ktoby pomyślał!... W Korpusie wyglądał, jakby trzech zliczyć nie umiał, a tu patrzcie...

— W każdym razie fajnie się spał!

— Nie tak jak my. Wialiśmy jak zające.

— Nie wspominaj, bo jak pomyślę, to mnie krew za-  
lewa.

— Cóż wy znów, nie śpicie? — do izby wszedł Wła-  
dowski, a za nim postępowali Toczyłowski z Francikiem.

— Nie chce nam się spać, panie kompanijny.

— Nie chce wam się spać? Ha, to dobrze. Tedy pój-  
dziemy wcześniej.

Kto żyw, zerwał się ze słomy wychodząc przed cha-  
tę. Żytkiewicz zagadnął Toczyłowskiego:

— A gdzie Karolinka?

— Chory. Dostał gorączki. Odnowiła mu się rana  
na głowie.

— Aha, pewnie ta, co go nią Zakrzewski uczył.

— Kto się tam znów czepia Zakrzewskiego? Czepiaj  
się, pętaku, tramwaju, a nie mnie!

— — — — —  
A tymczasem z Chodkiewiczem działy się dziwne  
rzeczy. Zaraz po kolacji zapadł w twardy sen skarżąc się  
przedtem na silny ból głowy. Koledzy odnieśli go do  
pokoju Włodowskiego i, ułożywszy na tapczanie, cichcem  
odeszli.

Chłopiec śnił na jawie. Zdawało mu się, że jest  
w Korpusie, na lekcji historii wojen i „Andrejka“ pyta go,  
co mu wiadomo o jego pradziadzie.

Tedy krztusząc się słowami Chodkiewicz trzepie:

— Hetman wielki litewski, Jan Karol Chodkiewicz,  
choć jako magnat gorąco przywiązany do swego rodu, był  
szczerym, pełnym temperamentu i swady żołnierzem swej  
ojczyzny, rycerzem z krwi i kości, urodzonym taktykiem  
i strategikiem. Jako wódz z Bożej łaski, umiał zawsze,  
czy to surowością, czy dowcipem, czy przykładem własnej  
wytrwałości i poświęcenia wydobyć z wojska wszystko.  
W obozie wymagał bezwzględного posłuchu: umiał łajac  
opornych najgorszymi słowami i naganiać ich buławą bez

względem na ich stanowisko, a niedobrze było dostać się wtedy w jego ręce...

— Fakty, fakty — przerywa „Andrejka” sucho.

— Rozkaz, panie majorze! Pradziad mój był żarliwym katolikiem, więc dlatego i ja się tak często oraz gorąco modłę, z czego nieraz koledzy drwią. Przed bitwą pod Kircholmem zarządził modły czterdziestogodzinne, rozdał swym oficerom kartki z wypisanym na nich porządkiem klęczenia każdego oddziału i sam klęczał przez siedem godzin. A że kto z Bogiem, z tym Bóg, więc może dlatego Opatrzność nagrodziła go wielką chwałą, a to 27 września 1605 roku, gdy stojąc na czele zaledwie 3.642 ludzi rozbił doszczętnie czternaście tysięcy przeciwników.

— Nie dziwota rozbić, gdy się ma dobre wojsko.

— A właśnie że nie — zaperzył się chłopiec — bo temu właśnie człowiekowi, tak głęboko przepojonemu zasadami karności i porządku, wypadło przez całe niemal życie prowadzić wojsko, które rozkładał mu, czynił niekarnym brak środków pieniężnych będący wynikiem ciasnoty pojęć naszych sejmów. „Ja Pana Boga proszę o śmierć — czytałem w jego diariuszu — a nie mam jej, a żyć w takich kłopotach mniemam, że piekła się równa; a pono tam cięższych nie masz, jakie ja sam cierpię. Nie zwykłem uciekać, a tu mi na to przyjdzie, bo żołnierz mnie pojutrze odchodzi z przyczyny niewypłacenia mu żołdu przez sejm. Patrzy na mnie nieprzyjaciół i ja nań, a bić się z nim nie mogę. Czekam co godzina jego nacierania, a nie doczekawszy jako mała z pola schodzić muszę”. Kiedy indziej pisał: „A żołnierz tak bryka, że ja nieraz poduszkę łzami obleję narzekając na swe nieszczęście.” Wydawał wtedy z własnej szkatuły na żołd, jak wszyscy nasi wielcy hetmani do Jana Sobieskiego włącznie; łagodził, jak mógł, nie płatnych. Czasem z jego piersi wyrывała się głęboka, prorocza skarga pod adresem sejmu za marnowanie zwycięstw żołnierza, za przygotowywaną ojczyźnie zgubę. „Te rzeczy — mówił z powodu zaniedbanej wojny z Mo-

skwą — tak żartko objęte, tak mężnie dotrzymywane, po wielkich i krwawych odwagach, jednym przeciwnego szczęścia ciosem tak marnie, tak płochy są rzucone. Podobno pokarał nas Pan Bóg i rzucił na ubocz prawemu rozumowi, żeśmy tak nieopatrznie myśl odciągnęli i umysł od popierania wojny i że ledwo nie pewniejsza zachodzi ojczyźnie zguba z pokoju, iż ciężkości z wojny było“.

— To pięknie — mamrocze „Andrejka“. — Twój pradziad cierpiał z przyczyny niekarności żołnierza, a ty, jego potomek, czy poszłeś w jego ślady, czy okazałeś się karnym kadetem?

Chodkiewicz zawahał się nie wiedząc, co powiedzieć, ale wprędce przypomniał sobie powiedzenie Władowskiego.

— Panie majorze! — rzekł służbiście. — Melduję posłusznie, że przy całej surowości dyscypliny jedna tylko dezercja, jedna niekarność winna być usprawiedliwiona: dezercja na front, na kule.

— Hm, hm — chrząknął major. — Gadaj dalej o twoim przodku. Tylko ciekawym, jak on mógł być dobrym wodzem tak się skarżąc na swą niedolę?

— Właśnie, że był wielkim wodzem, bo te skargi, te gorycze były jedynie czymś chwilowym w jego życiu, wypełnionym gorączką czynu, ważącego się na wszystko i ratującego ojczyznę wbrew wszystkiemu, wbrew nawet jej samej. Dokonywał cudów w Inflantach, objąwszy tam dowództwo po Janie Zamoyskim, pod którym służył na Multanach. Zdobywał jeden zamek po drugim, wprowadzając swą jazdę na niezwykle strome stoki; odnosił w polu niebывałe zwycięstwa, dzięki swej świetnej taktyce użycia jazdy; bronił z pomocą tejże jazdy, przerzucanej szybko z miejsca na miejsce, zamków inflanckich; organizował nawet flotę korsarską i odnosił z nią zwycięstwa na morzu. Przy natarciach zsiadał z konia i szedł naprzód porywając za sobą żołnierzy. Z wrogiem postępował stanowczo i ostro, ale z honorem rycerskim, który mu nakazywał traktować łagodnie poddające się mężne załogi

szwedzkie, grzebać z honorami wojskowymi ciała dzielnych oficerów szwedzkich. Żołnierzy podbijał dowcipem, tryskającym z jego listów i przemówień oraz raportów. „Przyszło do pracy — mówił o swym zwycięstwie nad wodzem moskiewskim Wałujewem — nam w gonieniu, jemu w uciekaniu“. Gdy mu pod Chocimem mówiono o przewadze liczebnej Turków, chwycił za szablę i zawołał: „Ta ich policzy“. Jako schorowany starzec stanął w Chocimiu na czele naszych wojsk, aby osłonić ojczyznę od groźnej nawałnicy tureckiej. Nie zdradził żadnym drgnięciem nurtującej go choroby; przeciwnie — żołnierze widzieli go rzeźwym, z twarzą prawdziwie marsową zachwycając się jego powierzchownością, zachowaniem się w boju, krótkimi a jędrnymi przemowami. Śmierć zaskoczyła go w obliczu wroga, jak gdyby znienacka, w całej pełni życia i rozpędu, w trakcie odpowiedzialnej i ciężkiej służby.

Kadet aż się zadyszał, recytując to wszystko, lecz zaledwie umilkł, „Andrejka“ spytał go z tajemniczym uśmiechem:

— A ty chciałbyś tak umrzeć, jak on?

— Och, Boże! — w tym wykrzykniku zawarły się wszystkie gorące pragnienia orlęcia z hetmańskiego gniazda.

— Tedy wypocznij — chłopiec posłyszał radę i sam nie wiedział kiedy, jak usnął.

---

Na placu uszykowali się do natarcia. Osłonięci na pół zwalonym murem, przygotowali granaty ręczne. Inni posadzali bagnety. Wszystko roztapiał tajemniczy mrok, w którym gdzieś daleko piały koguty. Niebo, pozbawione najmniejszej nawet gwiazdki, czerniało głębokie, groźne, gdzieś gdzieś zamazane podnoszącymi się z łąk tumanami. W konarach drzew zerwał się wiatr dmąc żałośnie nad placem.

Włodowski zaświecił latarkę. Skupiony, uważny, z dolną szczęką wysuniętą naprzód, sprawdził obecnych, badawczo im się przyjrzał, a wreszcie rzekł półgłosem:

— Kto się boi, niech wystąpi.

Nie było takiego.

— A więc pamiętajcie: trzymać się kupy i gdy dam rozkaz, walić przed siebie. To nie jest znów takie straszne.

Ujął w dłoń kolbę mauzera, zgasił latarkę.

— No, idziemy! Gęsiego!

Ruszyli jeden za drugim z zachowaniem wszelkich ostrożności. Wzrok wytężony w ciemność; uszom zdawało się, że rozróżniają jakiś gwar, palce drżały na spustach karabinów.

Skądś, z daleka, dolatywały pomruki armat. Wiatr nucił jakąś żalonną melodię, a chłopcom biły serca, tak biły!

Już rozróżniają zarysy miasteczka. Już idą rowem, biegnącym obok szosy. Za chwilę podsuną się pod pierwsze ściany domów.

I nagle posypały się kule, mimo że nie było ni gwiazd, ni księżycy i niemożliwym się zdawało, aby powstańców ktoś w ciemnościach dostrzegł. Odpowiedzieli ostrzeliwując na oślep ulicę, której wąska kiszka rozwarła się przed nimi.

Włodowski syknął:

— Naprzód!

Pierwszy wychylił się Żytkiewicz, za nim plutonowy Mir, obaj Mitasy, a wreszcie Włodowski z kadetami. Pochylili się pod kulami. Parę skoków i — byli w ulicy. Rozbiegli się pod ściany. Ciemniej tu było niż w polu. Strzały odbijały się głucho jak w kotle. Chwilę czekali bezradni nie wiedząc, co czynić. Zabrzmiął głos Włodowskiego: „uwaga!“ W kilku miejscach zabłyśły eksplodujące granaty. Wszystko się zatrzęsło.

W rozżegających się błyskach zamajaczyły postacie w zielonkawych mundurach i ciężkich, stalowych hełmach.

— Naprzód!

Powstańcy rzucili się w noc. Co parę kroków jak błyskawice zapalały się granaty. Miasteczko zaludniło się skurczonymi cieniami, goniącymi za ostrzem bagnetów. w których poczynął się iskrzyć pożar. Drżały domy od następujących po sobie eksplozjach. Dźwięczało szkło z ram okiennych, gniecione obcasami. Wybite bramy huczały jak głośniki.

Pędzono bez opamiętania. Twarze pały ogniem. Nerwy były napięte aż do ostatnich granic. Na głowy sy-  
pał się miazg z opadających gzymsów.

U wejścia do rynku walał się porzucony karabin maszynowy. Trup uhelmionego żołnierza utknął nosem na tar-  
czy. Czerwone języki ognia lizały dach ratusza połyskujący jak z laku. Z tyłu ktoś rozpaczliwie krzyczał jakieś nie-  
rozumiałe słowa.

— Na bok! Paść pod ściany! — wrzasnął Włodowski, a ledwie zdążyli to uczynić, zatrzęsło się wszystko, za-  
dźwięczały rozbite szyby, ze ścian opadł tynk, nimi zaś gwałtownie szarpnęło, osypało ziemią, w uszy boleśnie jakby pięściami trzasło.

Długie minuty leżeli na kamieniach z brodami opar-  
tymi o kant chodnika. Kule brzęczały jak struny, krze-  
sały złote iskierki w dziesięciu miejscach równocześnie, jęczały ludzkim skamłaniem, śpiewały jak ptaki.

— Uwaga! Pojedynczo — skokiem!

Zrywali się, czaili za węglami, w nyzach, za każdym strzepem wysadzonego muru, byle tylko o parę metrów posunąć się dalej. W niemym napięciu wyczekiwali chwili, by utorować sobie drogę granatem, rzucić się na ślepo w wyłom, skryć się i znów czekać.

W miasteczku szalał już pożar. Płomienie strzelały w niebo cudnoksztaltnymi wachlarzami dymu, przygasały i wyskakiwały z różnych stron ze zdwojoną siłą. Domy paliły się jak stogi siana, świeciły, nieczym rząd pochodni.

Opór Niemców był coraz słabszy. Powstańcy mogli teraz prawie bez przeszkód przeć przed siebie.

Biegiem dopadli kresu zabudowań. W najbliższej chacie wywalili drzwi. W bielonej, obszernej kuchni dogasała lampka naftowa. Na lakierowanej półce, między słojami i puszkami, tykał porcelanowy zegar. W powietrzu zafurczała kolba. Potoczyły się garnki i rondle. Posypały się na ziemię z wyłamanych szuflad noże i widelce. Wszystko w jednej chwili straciło pierwotny połysk. W malutkich, jednookiennych pokojach zatrzęszało. Zgasło lustro rozbite w sto kawałków, obrazy wylatywały z ram, tapeta odskakiwała całymi płatami. W kącie zatliły się łachy, oblane naftą. Z komórki wyrwał się mały, czarno-biały kot i, rzucił się z przeraźliwym miauczeniem na ustawione bagnety. Skądś frunęła chmura pierza i mieszała się z gęstym gryzącym dymem.

— To dom największego zdrajcy sprawy polskiej w tej miejscowości — objaśnił Włodowski. — Pod jego wodzą i z jego inicjatywy orgeszowcy zamordowali dwudziestu trzech Polaków, których trupy oglądaliście wczoraj na patrolu.

Te słowa dodały im bodźca. Ci, co dotąd dobytek zdrajcy niszczyli opieszale, rzucili się teraz z całą furią na skazane na zagładę gospodarstwo.

Szczególnie szalał plutonowy Mir. Przynosił skądś całe snopki kłoci, rozgradzał płoty, rozkopywał doły, wyrzucał z nich węborkami kartofle do ognia, czyniąc to z taką metodyczną zajadłością, że przy blasku pożogi kadeci patrzyli nań ze zdziwieniem.

— Właściciel gospodarstwa to jego brat — mruknął Włodowski, po czym rzekł głośno: — No, plutonowy, teraz spocząć, bo niezapowiedziany nastąpi szturm.

A więc cóż to było przed chwilą? To jeszcze nie koniec? Siadłszy na brzegu gościńca jak w teatrze kadeci rozmyślali nad tymi zagadnieniami.

Tymczasem budynek gorzał już od przyciesi po strychy. Ogień biegł po ścianach, obejmował zgruchotane stoły, krzesła i szafy, wciskał się w każdą szparę, wykrzywiał podłogi, rozżarzał sufity. Z ponurym łoskotem coś się we wnętrzu waliło. W oślepiającym blasku miejscami ukazywał się bezokienny szkielet, ubrany w powyginany, niby z paru drutów spleciony dach.

Plutonowy Mir gdzieś się zapodział. Kadeci trwali w zamyśleniu oparliszy czoła na rękach. W oczach latały im czerwone błyski. Powietrze ziało gorącym oddechem. Ze świecących belek wlatywały w niebo snopy iskier.

Na widnokręgu szarzało. Za parę chwil rozpocznie się wschód słońca. Grzmot strzałów prawie zupełnie zcichł. Zjawili się ludzie z noszami. Opodał, w mroku, ktoś uporczywie jęczał.

Zakrzewski wstał, przeciągnął się i podszedł do ranego. Zapaliwszy latarkę przyjrzał mu się. Okrągła plama światła padła na straszną postać. Cała czaszka od czoła wyglądała jak zmiażdżony kawał mięsa. Krew ciekła na policzki, na nos i uszy, zalewała wywalone nieruchomo oczy i rozwarte usta. Tylko ręce, założone na kolanach, trzęsły się i wyłamywały palce. Z poza strzępów koszuli świeciła kościotrupia, zapadła pierś.

Patrzący na to chłopak pomimo woli się wzdrygnął. Usta powtarzały machinalnie:

— Nic dziwnego. To przecież wojna... Nic, nic dziwnego...

— — — — —  
Gdzieś, w przyległych wsiach, piały koguty. Z ustępującej nocy wyłaniał się świt, jakiś mglisty, zamazany, chłodem ziejący świt. Siedzący na brzegu gościńca kadeci skurczyli się, znieruchomieli. Nad miasteczkiem mieniła się krwawa łuna.

W pewnej chwili, z półmroku, wychynął człowiek. Poznali Mira. Szedł pochylony, z rękoma w kieszeniach.

Stanął, złapał się za piersi, jakby mu serce chciało z nich wyskoczyć. Potoczył wzrokiem wokół siebie. Zdawało się, że kogoś lub czegoś szuka. Oczy jego padły na zgłiszczoną rodzinnej chaty, przywarły do nich, jak żelazne opiłki do magnezu.

Zacisnął pięści, głębokie bruzdy sfałdowały mu czoło; z warg spadł bolesny szept:

— Nie bydziesz, chacharze, żół w łojcowym pobudynku, ni!...

Siadł ciężko i mamrotał do siebie:

— Diosecki łodrodku! Eliś się wyparł łojczyzny, tóż i łojcowizna dło cía nie przypadnie. Eli Germanom przajesz, tóż niech ci óni dadzą lepszo wymowa...

— — — — —  
Zatętniały podkowy. Między domami ukazał się jeździec. Przygalopował do siedzącego opodał Włodowski, zeskoczył z konia, zaraportował słuźbiście:

— Panie kompanijny! Melduja, iż skóli tego, co wszyjskie kómpanije łodzierzły sie na linii, kiej sie pokoże trzy rakiety na niebie, mają ze swoimi ludziami robić „Angrif“.

— Dobrze — odrzekł Włodowski bezdźwięcznie i powstawszy zbliżył się do spoczywającej kompanii.

— Gotować się, chłopcy — rzekł. — Za chwilę szturm, więc...

Jego dalsze słowa szczyły w nadlatujących od strony Niemców pociskach armatnich. Burza rozsalała nad miasteczkiem. Radośnie szeleściał złośliwy świst szrapneli, radośnie jazgotał przejmujący gwizd granatów, radesnym chichotem zaniosły się nieprzyjacielskie maszynki: cha-cha-cha!...

— Pokłaść się za skarpą! — wrzasnął Włodowski. — Odstęp pieć kroków! I nie bać się! To ogień zaporowy!...

Wielewski, który w „przedmiotach ogólnokształcących“ był ani be, ani me, lecz na pamięć potrafił recytować z regulaminów całe stronicę, zaczął teraz półgłosem:

— „Ogień zaporowe skierowuje się na miejsca najsilniejszego natarcia nieprzyjaciela lub w razie złej obserwacji na miejsca z góry ustalone w planie ognia, ułożonym na podstawie porozumienia piechoty z artylerią. Pokrywają one części terenu, których piechota nie może skutecznie ostrzelać swym ogniem, oraz te, które uznane są za najważniejsze, gdzie ogień piechoty winien być wzmocniony ogniem artylerii.“

— Gotować się do szturm! — wrzeszczy znów Władowski. — I nie bać się, bo to nie jest takie straszne, jak się zdaje! Tymczasem czołgać się na brzuchu aż do toru kolejowego!...

Boże, święty Boże! I on jeszcze powiada, że to nie jest straszne? Jakże się tu czołgać do toru, kiedy właśnie na tym kawałku, od kolei do szosy, skoncentrował się cały ogień niemiecki. Salwy wałą za salwami, trąkotają maszyny, ryczą armaty. Z kilkudziesięciu miejsc równocześnie wybuchają dymy, rozciągają się nisko i pełzną w oczy czołgających się jak gryzące liszaje. Wkrótce nie zostanie ani jednej grudki ziemi nienaruszonej. Rozrywana, szarpana w kawały połać rzezi i jęczy, rozwiera się jak jęcząca rana.

A oni czołgają się i w głowach mają tylko to jedno: natarcie, raczej — szturm! Przygnębiona zgała dzień, ciemniejszy od brzasku. Nagły wybuch pryska w twarze wodą, obsypuje pecynami błota. Kadeci przytomnieją, lecz znów uporczywa myśl zjeża im włosy na głowie: szturm!

Toczyłowski myśli, że zbliżają się ostatnie sekundy, że tam ładują już pociski, który trafi nie o parę kroków lub krok, lecz prosto w jego plecy i że wtedy będzie koniec. Dlaczego on właśnie miałby żyć? Wszak stąd o kilkanaście kroków leży ich dwóch; dlaczego on nie miałby być trzeci, a taki Zakrzewski, na przykład, czwarty? Zakrzewski,

który mu tyle dokuczył, który i teraz nie daje mu spokoju, ale wykrzywiając gębę jak ulicznik drze się:

— Te, żałobna klepsydro! Uważaj, abyś nie zwał, bo byśmy bez ciebie na pewno przegrali wojnę!

Prawda! Skąd ten drań wie, że Toczyłowski się boi? Ze go ogarnia podłe uczucie przenikania przez wszystkie nerwy każdego pocisku, który gwizdnięciem oznajmił, że przeleciał obok.

Och, jak dobrze kryć się w tej zbawczej bruździe ziemi, która nie chce puścić, jak matka nie chce puścić swego dziecka na zgubę!

Och, jak tu iść do szturmu, kiedy szaleńcze pragnienie życia potężnieje coraz bardziej i rośnie na wyścigi z poczuciem małości oraz nikczemności!

Och, cóż Toczyłowski pocznie, kiedy się naprawdę boi! I on się boi i Zakrzewski, choć fanfaronuje, także się boi i Lityński, Kasperski, Spława, Berberiusz, Lipowski, a nawet, nawet może Żytkiewicz — wszyscy się boją.

Więc się modlą. A może wargi im się trzęsą? Nie, oni się modlą, bo ten i ów przesuwają nieznacznie czoło i ramiona do palców wciśniętych w błoto: zegna się.

Tor kolejowy niedaleko, lecz, patrząc nań, czuje się, iż strach składa ręce w trąbkę i krzyczy w ucho: tam nikt nie dojdzie! Tam nikt nie przejdzie!

Kadetom kręci się w głowie. Wszyscy się modlą: „Panie Boże, jak mi pozwolisz stąd wyjść, to Ci obiecuję, że już nigdy nie zrobię“... Sine wargi powtarzają: „Panie Boże, Panie Boże“!!!

I w tejże chwili serce zaczyna bić jak rozkołysany dzwon. O pięć kroków tor... Teraz! Chwyta się ktoś za głowę: Panie Boże, święty Boże! Właśnie teraz, kiedy piorun bije po piorunie, kreśląc po chmurnym niebie smugi płomiennych mieczów, kiedy ziemia jęczy w konwulsyjnych drgawkach, kiedy palce wbijają się kurczowo w błoto, — właśnie teraz rozbrzmiała zapowiedź:

— Gotować się! Uwaga!

Gotować się? Na co? Na śmierć? Ha, trudno. Co będzie, to będzie. Dać sobie bata! Nie pozwolić się porwać strachowi za kołnierz! Jedną ręką prowadzić siebie, drugą — dławić za gardło miotające się przed oczyma przerażenie!

I oto dzieje się cud: na tor kolejowy wyłazi Włodowski, ze szpicrutą w jednej ręce, z mauzerem w drugiej, za nim plutonowy Mir, obaj Mitasy... Prostują się, nagle zolbrzymieli, podnoszą ręce jak krzyż na wiatr, na pociśki, na dym, rozdziawiają gęby wrzeszcząc:

— Huraaa! Niech żyje Polska!...

— Huraa!... — odkrzyknął Żytkiewicz, blady jak śmierć, i, chwyciwszy karabin za lufę, wywinął nim młynca rzucając się naprzód.

— Huraa!... — zawtórowali: Zakrzewski, Toczyłowski, Lityński, Berberiusz, Lipowski, Różycki, Kasperski i wielu ich tam jeszcze było.

Zęby wgryzły się w wargi, zapadł się cały świat, wszyscy poszaleli. Zbudziło się w piersiach coś silniejszego od nie wiadomo jakich głosów oraz instynktów; wzbija się okrzyk ponad wybuchy pocisków, okrzyk donośny, gromowy:

— Niech żyje polski Śląsk!...

— Deutschland über alles!... — przyleciało z przeciwnej strony, wykwitły stalowe hełmy, zalśniły bagnety, od ziemi oderwały się postacie z żółtymi opaskami na rękawach.

Szarpane powietrze wyło, chaos strzałów i wybuchających granatów kłębił się w potworne ryki, w uszy wbijały się rozpalone kliny, a oni biegli ze zgiętymi karkami, z zagryzionymi wargami, z pochylonymi bagnetami, nie bacząc, że pod nogami otwierają się wyrwy, że potyka się ktoś, rzyga krwią i toczy na stratowanie.

— Niech żyje polski Śląsk! Niech żyje!...

— Vorwärts! Vorwärts!...

Już nie ma nic dokoła, oprócz dźwięku tych słów opętanych rozpierających dusze. Płaczą się nogi w drutach kolczastych, szarpią się; kolce krają skórę, zgrzytają na kości.

— Naprzód! Naprzód!

Łapy wrosły w drzewca, rzekłbyś skostniały na obasadach karabinów. W człowieku związało się wszystko: wściekłość, ból, rozpacz. W rów i — przez rów, na drugą stronę. Drogę zastępują zielonkawie mundury. Pękają hełmy, charkocą przebijane gardła, siepią się przygwożdżeni bagnetem do ziemi niczym motyle.

Mdleją ręce; ciepło na czole i szyi; brak tchu, lecz — naprzód!

— Naprzód! Naprzód!...

Gnąją zbitą kupą, lufa przy lufie. Pcha ich wiatr, dudnią obcasy po betonowych płytach przytorza dworca. Rozsadza coś piersi, pęcznieje serce.

Rozwidnia się, zielenieje, słonecznieje, a wroga — już nie ma. Kadeci pędzą w blasku, bo oto lunęły promienie słoneczne przedarłszy się przez zbity wał chmur. Na chwiejących się nogach zatrzymuje się nagle człowiek — widmo, kupa ziemi i krwi: Włodowski. Czarna posoka ścieka mu na twarz, w zgrabiącej dłoni dzierży zakrwawioną szpicrutę, zadziera łeb, krzywi osmolone usta i śmiejąc się mamroce:

— A co? Nie mówiłem! Wszak to nie jest takie straszne, prawda?!

Kadeci gromadzą się przy nim. Gapią się na pół przytomnie, mokrymi wargami bełkocą niezrozumiałe słowa. Nie wiedzą dobrze, co się stało.

Lecz po chwili zrozumieli, pojęli i ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk o polskim Śląsku, zmieszany z wiatrem i słońcem. Niepowstrzymane łzy płynęły po policzkach. Niezmierna duma oszołomiła zmysły.

Obłąkana szczęściem stała oto sponiewierana, śmiejąca się banda niedobitków — na kawałku zdobytej Polski.

## IX.

Przed wieczorem na zdobytą pozycję przyszedł Chodkiewicz.

— Jak mogliście? jak mogliście? — pytał niemal z płaczem.

— Co, Karolin!o?

— Jak mogliście mnie zostawić? Boże! I ja w szturmie nie brałem udziału.

Żytkiewicz zaczął tłumaczyć:

— Któż z nas wiedział, że ty nie wrócisz? A przecież później nie było czasu, aby cię powiadomić.

— Nie martw się. — pocieszał go Lityński. — Przed chwilą słyszałem, że podobno jutro przechodzimy na całej linii do ogólnego natarcia.

Jakby na potwierdzenie tych słów ukazał się Władowski. Obrzucił wygrzewających się w zachodzącym słońcu chłopców badawczym spojrzeniem, czapkę nasunął na nos, wargi wykręcał złowrogo, co znaczyło, że jest w najgorszym humorze.

— Lipowski! — rzekł osowiały.

— Na rozkaz, panie kompanijny!

— Słuchaj uważnie: dostaniesz konia i dziś wieczorem ruszysz, by nawiązać kontakt z grupą „Północ“. Rozumiesz?

— Tak jest, panie kompanijny!

Leżący opodal koledzy zaintonowali cichutko: „W mogile ciemnej śpij na wieki“. Lipowski, nie odwracając się, pokazywał im palcem miejsce poniżej pasa.

Władowski recytował urzędowo:

— Zostawisz wszystkie dokumenty. Co ci powiem, nauczysz się na pamięć. Po skomunikowaniu się z do-

wództwem grupy postarasz się natychmiast wrócić. Będziesz pamiętał?

— Tak jest, panie kompanijny — tylko...

— Co?

— Chciałem prosić posłusznie o poinformowanie mnie, gdzie się znajduje ta grupa „Północ“?

— Jakto, nie wiesz?

— Właśnie, że nie wiem.

Władowski poczerwieniał.

— Dureń jesteś!

— Może w Wielkich Strzelcach? — zgadywał Lipowski.

— Dureń jesteś, rozumiesz? Tego w Korpusie Kadetów cię nie nauczyl, prawda? No i gdzież może być grupa „Północ“, co?... Nie wiesz?... Jeszcze nie wiesz?... Na północy, ofermo jedna, na północy, prosto nosa, inaczej nie nazywałyby się „Północ“, lecz „Południe“ lub „Wschód“, do stu tysięcy diabłów! Wiesz już teraz?

— Tak jest, panie kompanijny!

— Zgłosisz się do mnie o ósmej. A teraz idź się wyłogiwać.

Kadeci nucili melancholijnie drugą zwrotkę marsza żałobnego skandując:

— „Na- krót-ki- czas-na krótki, po-żeg-naj nas ma-lut-ki“...

— Przestalibyście wyć!...

— To z głębi zbolełego serca, Lipa, ze współczucia dla ciebie. Nie ma rady! Musisz sobie powiedzieć, że już tak, jakby było po tobie.

— Weź sobie kompas na siodło — radził Wielewski. — Bo inaczej, miast na północ, zawędrujesz na południe.

Lipowski powiedział, gdzie go ma i położył się na ziemi.

Po chwili coś sobie przypomniał, bo podniósł się, pogmerał w chlebaka, wyjął zeń zgnieciony arkusz papie-

ru, kopertę, potem ołówek i zastrugawszy go, zaczął drapać się po głowie.

— Lipa, chcesz pisać list?

— Yhy.

— Do facetki?

— Eh, do domu — szepnął wstydliwie.

— Do domu? Prawda, należałoby napisać do domu!

— A więc piszmy!

— Jazda!

Pokładli się na brzuchach, na przeróżnych świstkach zaczęli pisać ze skupieniem. Pierwsze zdanie poszło jako tako.

— Eh, tam z listami! — zachnął się Chodkiewicz.

— Bo i prawda. O czym tu pisać?

— Patrzcie, prowadzą konia.

— To dla ciebie, Lipa. No, nie ma rady. Szykuj się na śmierć.

— Nie kracz, bo cię kopnę.

— Jaka to wielka prawda — pisał z udanym oburzeniem Zakrzewski — że prawda w oczy kole.

— Widzieliście apostoła prawdy?

— Te! oferma ci na imię, zamknij dziub.

— Kiedyż wy, Toczyłowski z Zakrzewskim, przestaniecie się kłócić i nawzajem sobie docinać?

— Po śmierci — bąknął filozoficznie Toczyłowski.

— Stulcie pyski! Kompanijny idzie!

Władowski się zbliżył.

— Lipowski, jadłeś kolację?

— Jeszcze nie, panie kompanijny!

— Masz tu chleb i konserwy. Poza tym — z nieodłącznej torby wyciągnął nierozdzielną manierkę — golnij sobie rumu. To ci dobrze robi.

— Bardzo dziękuję, panie kompanijny.

Lipowski, łyknąwszy spory haust śmierdziuchy, nieśłusznie nazwanej rumem, zaczął się metodycznie posilać.

Kompanijny marszczył czoło, siarczyście spluwał, śnać się martwił. Niech się martwi, od tego jest kompanijnym.

— No, najadłeś się już? — warknął po niejakiś czasie.

Przełknąwszy szybko kęs chleba Lipowski zerwał się na równe nogi.

— Tak jest, panie kompanijny!

— A więc słuchaj i zapamiętaj sobie. Niemcy szykują natarcie dwoma silnymi i świeżo z Wrocławia przybyłymi kolumnami. Na odcinku grupy „Północ“ mają uderzyć równocześnie na Strzebinów i Dąbrówkę prowadząc natarcie w kierunku na Nowy Dwór i Zakrzów. Powtórz!

Gdy Lipowski powtórzył, Władowski rzekł:

— A teraz co do drogi, to będziesz się trzymał skraju lasu, później przegalopujesz przez pola i zresztą: niech cię wszyscy diabli!... Musisz sobie dać radę!

— Dam sobie radę, panie kompanijny!

— Pojedziesz tak, tak i tak — na marginesie gazety rysował mu mapkę, po czym odpiął wspaniały swój mauer w drewnianym futerale i rzekł: — Masz!... Oddasz mi, jak wrócisz i w ogóle trzymaj się. No, do widzenia!

Spod kopyt bryznęła gruda. Zakrzewski rzucił w ślad za odjeżdżającym:

— Na wszelki wypadek chciałem cię, Jurku, prosić, abyś w razie spotkania z Niemcami kłaniał im się od nas.

— Pocałuj mnie!... — przyniósł wiatr echo odpowiedzi.

— — — — —  
Na pola zapadła nieprzenikniona noc. Kadetów rozkwaterowano w szopie, pełnej pachnącego siana. Dostali wspaniałą kolację: chleb i konserwy, po czarce rumu i dziesięć papierosów. Najedli się jak nigdy.

Władowski się rozkrochmalił. Leżąc obok chłopców mówił:

— Widzicie, że na tym bożym świecie nie ma nic straszego, tylko trzeba się nie dać. Nie dać się nie tylko mo-

cy, ale przede wszystkim słabości, która moc odbiera. Trzeba gardzić wszystkim, co nie jest walką, co się nie kończy zwycięstwem. Nie dać się truciźnie, a zwłaszcza truciźnie słów. Zawsze lepszy jest cios, który można parować, od słodkiej trucizny, która niszczy powoli.

Przerwał, zapatrzył się przed siebie. Spał cały świat.

Dachy srebrzyły się w księżycu jak ze stanioli; pobielony pień jabłoni majaczył, podobny do ducha z podniesionymi ramionami.

Z ogrodów buchał zapach jaśminów. Zdaje się, jakoby ziemia płonęła własnym, tajemniczym światłem jak ogromna lampa. Chciałoby się teraz mieć przy sobie swą pannę i mówić jej przyciszonym głosem tak, jak to mówi Władowski:

— Taka noc, majowa, pachnąca bzem i jaśminem noc, przesyciona słowiczym pieniem, to ładna, bardzo ładna rzecz. Ale uczucia, jakie jej czar budzi, cisną się w duszę i moc odbierają. A tu nie ma mocy na stracenie, bo nie wiadomo, co nas jutro czeka. W każdym razie: życie, które jest takim samym bojem, jak ten dziś rano, przez który trzeba się było przerąbać bagnetem.

Głos Władowskiego brzmi twardo i wnika w serca słuchaczy tak, jak bretnale wnikają w poddające się pod uderzeniem młota drzewo. Chłopcy nie zdają sobie dobrze sprawy, o co mu chodzi, tylko czują, że każdy dałby się za coś porąbać w kawałki, taka w nich rośnie zapalczywość.

— Nie trzeba się dać otumanić miękkim myśłem, co głaszczą jak baba — brzmi przenikająco w ciszy nocy. — To dobre na odpoczynek, na zabawę, na nic więcej. Nie trzeba się dać oszukiwać słowom. Słowa to błaga, w której wygrywa mocniejszy w pysku; słowa — to dym. Pamiętajcie, że słowa wloką się za czynami, że tęga pięść i... serce — dodał ciszej, jakby ze wstydem — więcej zrobiał dobrego od wszelkich bzdur dyplomatycznych.

Teraz głos rośnie, potężnieje, a Władowski powstaje ciskając na kadetów iskry ze swych twardych oczu:

— Jutro czeka! Należy być gotowym na jutro i kuć w sobie duszę z żelaza, walić ją młotem: niech jęczy, niech boli, bo nie radość was czeka, nie sala balowa, ale to pole, któreście rano poznali; to śląskie pole, po którym znów trzeba będzie biec z karabinem w łapie i na którym trzeba będzie może zostać pod krzyżem. I kochać trzeba! Bez żadnych targów i bez żadnej gadaniny, po prostu, z całego serca, kochać ten kawałek ziemi... Zrozumiano, psia krew, kadety?

Chodkiewicz swoim zwyczajem zapatrzył się gdzieś przed siebie: w daleką, pogodną, świeżą noc. Przez dziury w dachu świeciło niebo gwiazdami. Jedna z nich oderwała się od swej trzody, przekreśliła cały widnokrąg i przepadła. Chłopak się zamyślił. Jeszcze kiedy był dzieckiem, tam, daleko, na Ukrainie opowiadała mu piastunka, że gwiazdy spadają, gdy ktoś ma umrzeć. Uśmiechnął się myśląc, że gdyby gwiazdy spadały przy każdym człowieku, co przenosi się na tamten świat, musiałyby padać bezustannie i tak gęsto jak grad, że wkrótce ani jedna nie zostałaby na niebie.

Na pobliskich łąkach żaby zaczęły swe nocne spory. Władowski dawno już odszedł do kwatery dowództwa pułku. Kadeci zasnęli w sianie, tylko Chodkiewicz leżał z otwartymi oczyma, tępo wlepionymi w ciemność.

W pewnej chwili doleciały doń słowa nuconej półgłosem piosenki:

Poszła Karolinka  
Do Gogolinka,  
A Karliczek za nią,  
Jak za młodą panią,  
Z flaszeczką winka.

Chodkiewicz wzdrygnął się. Dziwnie, niby ostrze zdradliwego bagnetu, melodia tej śląskiej ludowej pio-

senki przeszywała mu serce, że aż kurczyło się z jakiegoś przewielkiego bólu. Opanowawszy się słuchał dalej:

Wróć się, Karolinko,  
Bo jadą goście.  
A jo sie nie wróca,  
Serca nie odsmuca,  
Boch już na moście.

Melodia zacichła, roztopiła się w mrokach nocy. Chodkiewicz przymknął oczy i rychło spadł na nie błogosławiony sen. Myśli chłopca zmąciły się, zachodziły jedna na drugą, przedstawiając bezładne obrazy, z których na koniec całkiem wyraziście wyłonił się jeden:

...Olbrzymie pole, płaskie, nieogarnięte oczyma, step. Na nim szyki rycerskie stoją konno i zbrojno, hucznie i buńczucznie. Stoją, czekając na wroga, który skądś zjawia się w takiej masie, że trudno policzyć. I wtedy szyki, na kształt olbrzymiej chmury, ruszają naprzód. Kolebią się jak łan na wietrze, pochylają las włóczy ku końskim łbom, a wreszcie biorą największy impet...

...Któż na czele, kto?... Siwobrody, rzeźki starzec z oczyma jak pioruny. Buławą hetmańską na wroga wskazuje, wspina konia ostrogami, który prawie w powietrzu skacze. Idą jak burza, jak rozhukana fala, z łoskotem, z szumem. Pod ich ciężarem ziemia jęczy, skarży się i ugięna. Pod ich ciężarem muszą się ugiąć te równe czworoboki pohańców, które na widok ciągnącej nawały mrużą oczy, zaciskają zęby, dyszą gwałtownie piersiami...

...I oto huk, straszny zgrzyt, suchy trzask, a wreszcie ni to jęk, ni kowanie, uderzenia jakby tysiąca cepów w klepisko.

...Siwobrody starzec przyzywa Chodkiewicza, daje mu buławę, nakazuje, aby miast niego wiódł hufiec żelaznych mężów...

A to co?!...

— Chłopczy, wstawać, pośpieszyć się; Kasperski, jada!

— Cóż to na pociąg, czy co?

— Nie słyszysz, jak Niemcy walą?

Kopnięciem nogi ktoś otworzył bramę. Znikli w szarości pierwszych godzin dnia.

## X.

Ranek był chłodny, rozświecony w słońcu. Po obu stronach drogi kłoniły się zaróżowione bukiety rozkwitłych czereśni, sypiące naokół kruche, wiotkie płatki. Każdy z owych płatków stanowił sam w sobie najcudniejszą, skończoną całość, będąc pokryty siecią żyłek, zadzierzgnanych z takim wdziękiem, jak gdyby najbieglejszy w swej sztuce złotnik przesiedział nad nim pół życia.

Z łąk opadała mgła płynąc ku ciemnobrunatnej zieleni szarzejącego na widnokręgu lasu. W przejrzystym powietrzu, rozdzwonionym fiukaniem wilgi, rozkładał się świat jaskrawokolorowy: zielone, mieniające się prostokąty pól, poprzecinane sznurami miedz, parę chałup, otoczonych wieńcem olch i zanurzonych w młodym listowiu brzoź, przesiąkniętych blaskiem przesianym, uroczym, kupa zgliszcz, śmierdzących jeszcze spalenizną, samotnie sterzący komin, lasek iglasty, sadzony równymi rzędami, w niczym nie przypominający puszczy i — znów pola, kryte gontami białe domki, wielka cisza poranna oraz daleki, opęczniały groź, bezustanny grzmot dział szalejący na prawym skrzydle.

Kadetów prowadził plutonowy Mir. Przywiódł ich pod zielony parkan, za którym stały domy, bliźniaczo do siebie podobne, śnać opuszczone przez mieszkańców. Wyznaczył każdemu miejsce na brzegu drogi; dla karabinu maszynowego, obsługiwanego przez obu Mitasów i Chodkiewicza, wygrzebano gniazdo obronne.

Po jakim takim urządzeniu pozycji chłopcy zaczęli się posilać resztkami wczorajszej, tak sutej wieczerzy, a następnie, rozłożywszy się w cieniu pod drzewami, opowiadali sobie stare kawały, z których się nikomu wcale nie chciało śmiać, kurzyli papierosy lub nawet zabierali się do drzemki.

Zakrzewski był jakiś osowiały. W pewnej chwili jego uwagę zajęły błyszczące w ogródkach wśród kwiatów pyzate, kolorowe, szklane kule, które się skrzyły jak małe słońca odbijając w sobie zniekształcone sylwetki powstańców. Nazbierawszy głązyków chłopak zaczął nimi cisnąć w kule, tak że co pewien ułamek czasu któraś z nich z brzękiem się rozpryskiwała.

— I po co to robisz? — warknął nań Toczyłowski, a jego duża, za duża twarz skurczyła się jak wilcza paszczyka. — Czy ty zawsze i stale będziesz miał w sobie niszczycielską żylkę?

— He? — Zakrzewski spojrzał na kolegę pytająco, przy czym jednocześnie stłukł kulę, błyszczącą tuż nad Toczyłowskim, na którego jakby w odpowiedzi posypały się odłamki szkła.

— Nie! To już trudno wytrzymać! — zawołał Toczyłowski zrywając się na równe nogi i przyskakując z pięściami do Zakrzewskiego.

Nim kto zdołał przeszkodzić, obaj kadeci zaczęli się okładać kułakami. Walili się wprawnymi, bezlitosnymi ciosami bokserów. Starali się trafić nawzajem fachowo ciosem zamachowym — w brzuch lub podbródkowym — w szczękę.

Toczyłowski był silny, toteż w pewnej chwili opasał Zakrzewskiego w piersiach i cisnął. Kolanami przywarł do kolan, biodrami do bioder, ramiona zaciskając jak kleszcze i nie zważając, że Zakrzewski bił ciosem bokserkim, pracowicie ćwiczonym, celnym.

Wśród kadetów uczynił się ruch. Skoczyli rozdzielać zapaśników, lecz ci tak się z sobą zwarli, że nie moż-

na było do nich przystąpić. Szczęście, że ktoś zbudził z drzemki plutonowego Mira.

— Ło, pierońskie gizdy! Cóżzaś wóm wpadło do łebów? A już mi to kończyć, bo kiej jo wos gichna w gryzok, tóż tela bydziecie mieli! Bacność!

Obaj kadeci wyprostowali się dygocąc z utrudzenia i jakby ciskając na siebie z oczu ładunki nienawiści. Toczyłowski był pokiereszowany, co się zowie. Twarz miał umazaną krwią z rozbitego nosa, lewe oko zapuchło, brew przecięta tak, że czerwona szrama przeorała mu policzek od oka do brody. Zakrzewski wyglądał trochę lepiej, chociaż i jemu z rozciętej wargi płynęła krew, a muskuły tak miał osłabione, jakby mu z nich wypompowano całą energię. Stali teraz w ponurym milczeniu słuchając wy mówek plutonowego:

— Choćby smarkate smyki sie zachowujecie. Cy sie to godzi na powstańców? Cóżzaś jo z wami napocna? Kieby nie to, iże zarozki bydzie praczka z Germanami, dołbych wóm stójka z gwerem nie myni, jak ze trzy godziny. Toż sie terazki ujednejcie, a nie róbcie jeszcze głupoty.

Lecz chłopcy nie kwapili się do zgody. Milczeli, nie czyniąc do się pojednawczego kroku, a z twarzy ich można było odczytać uparte przekonanie, że sobie nie darują, że nienawiść między nimi jest akurat w tej fazie, w której szkoda każdego zbędnego słowa.

---

Chyba już ze dwie godziny minęły. Prawie cały pluton drzemał, zmożony gorącem i niewyspaniem, gdy niespodziewanie, od strony ogródków, pyszniących się kwitnącymi irysami oraz zaledwie pączkującymi różami, gruchnęły strzały. O krok może od trwającego w półśnie Chodkiewicza ćwierknęła kula, odbita od kamienia, i spłoszyła się na murze. Równocześnie z przeciwnej strony zaklekała maszynka, której trajkot zdawał się być podobny do odgłosu wielkoczwartkowych kołatek, gdy dzieci

szkolne „Marzannę“ topią. W ów trajkot wplótł się niebawem regularny, gęsty ogień z karabinów piechoty.

Zapowiadała się długa, nudna pukanina, trafiająca zaledwie o kilkanaście kroków od powstańczej linii, podrywająca ziemię, tnąca trawę i pacająca po kamieniach drogi.

Plutonowy zabronił, aby kadeci odpowiadali na strzały przeciwnika, natomiast Mitasowi polecił otworzyć ogień z maszynki. Jakoż po chwili powstaniec zaczął strzelać z taką powagą i przejęciem, jakby od tego zależał los bitwy.

Lecz strzały nieprzyjaciela mnożyły się i to z różnych odległości. Kadeci nie rozumieli, co to znaczy, zwłaszcza gdy przeciągły, głuchy grzmot roztoczył się w powietrzu i z niesamowitym wizgiem padł o paręset metrów przed nimi pocisk, wyrrywając lej w porosłej bujną trawą łące. Ziemia zadygotała, bo w ślad za pierwszym sypnęły się gęsto następne.

Cóż było robić? Ten i ów nadrabiał miną, puszczając się na ciężkie dowcipy, od których by wołu zabił. Wielewski najpoważniej w świecie uczył Kaspra, jak się ma zachować, gdy mu brzuch rozprują. Czyżyk pytał Kamińskiego, czy znosi lewatywę, bo podobno Niemcy częstują nią każdego jeńca cztery razy na godzinę. Zakrzewski, jakby pragnąc zagłuszyć niedawną utarczkę, skulony w rowie, z twarzą wciśniętą w miałki pył drogi, miarowo odychał. Spuchnięty Toczyłowski dłubał w nosie. Chodkiewicz, jak zawsze, patrzył gdzieś przed siebie. Lityński z Żytkiewiczem toczyli nader filozoficzny i skomplikowany terminologicznie dyskurs na temat, czy też wyfasują dziś chleb i o której godzinie może przybyć kuchnia polowa. Zresztą, wobec tego zagadnienia wszystko inne wydawało się błahe i pozbawione żywotnego znaczenia.

Przed południem przyszedł na linię Władowski, bardziej nasrożony niż zwykle. Był czymś zatroskany, bo głębokie bruzdy fałdowały mu czoło. Zielone ubranie

straciło dawną świeżość, jakby się w nim po tłustej, wilgotnej roli tarzał. Połamany daszek trzymał się paru grubymi ściegami wymiętoszonej czapki, z pod której patrzyły chmurne oczy, jakby kogoś szukające.

— Chłopcy — ozwał się. — Który z was ma pojęcie o zadaniu obserwatora artylerii?

Nim kto zdołał odpowiedzieć, Wielewski zerwał się z ziemi, podbiegł szybko do Władowskiego, jakby bojąc się, aby go któryś z kolegów nie uprzedził, i zaczął płynnie recytować:

— „Główną rolę w utrzymywaniu łączności spełniają obserwatorzy artyleryjscy, którzy na podstawie przebiegu walki mogą najskuteczniej i najszybciej dostosować ogień artylerii do potrzeb piechoty. Wysunięci obserwatorzy, wydzielani zwykle w terenie nieprzejrzyście, w czasie szybkiego posuwania się piechoty, znajdują się w bezpośredniej bliskości własnych oddziałów, z którymi muszą utrzymywać ścisłą łączność. W pełnym zrozumieniu swego ważnego zadania, będą zawsze dążyć do tego, aby natarcia piechoty dawać natychmiastowe i skuteczne wsparcie ogniowe“.

— Pierona! — pisnął z podziwem plutonowy. — Ten ci ale mo łąb nie na wszy; praa, panie kómpanijny?

Władowski odkaslnął i rzekł:

— Wcale nieźle, a nawet, powiedziałbym, dobrze. Otóż słuchaj, Wielewski. Wybierz sobie trzech kolegów i idźcie do tej, o widzisz, topoli — ręką wskazał samotnie rosnące drzewo między obiema liniami. — Wdrapięcie się na nią z aparatem telefonicznym i będziecie naszej artylerii podawać cele. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kompanijny!

— No to dobrze. Teraz wybierz sobie kolegów i natychmiast ruszajcie. Tylko, do stu diabłów, żeby was tam szlag nie trafił!

— Nic nam nie będzie, panie kompanijny.

— Skąd wiesz? Masz kontrakt z Panem Bogiem?

Dał ci na piśmie? — pytał opryskliwie Władowski.

Wielewski zdetonował się, nie wiedząc co odpowiedzieć, gdy wtem do kompanijnego podszedł plutonowy, zasalutował z rozmachem i rzekł:

— Panie kómpanijny, melduja posłusznie, iże mnie by sie należało iść za tego łobserwatora.

— Wam? Dlaczego?

— Toć, że mnie! Przeca tukej jest moja łojcowizna i tukej żech sie ulągł, tóż wszyjsko fajnie moga łobejrzyć.

Władowski spojrział nań całkiem innym wzrokiem.

— Prawda! — rzekł. — Że mi też to wcześniej do głowy nie przyszło. A więc jeśli tak, to dobrze — zdecydował. — Weźcie sobie trzech albo nawet czterech ludzi do pomocy i natychmiast podkradnijcie się do topoli, bo nasza artyleria za wsią już odprzodkowuje działa. Komen-dę nad waszym plutonem obejmie Żytkiewicz.

— Pón Bócek im zapłać! — ucieszył się plutonowy. — A ni mają za złe, iże chca iść na łobserwatora.

Okręcił się na pięcie i już chciał odejść, gdy Władowski wstrzymał go pytaniem: — Jeszcze jedno. Czy wy, plutonowy, dacie sobie radę ze ścisłym podawaniem cel-łów dla artylerii?

Mir się zachnął.

— Czamu to ni! Przecach we wojna bół w „fussar-tilerii“, kiera mo kadra w Nysie. Przeca wiym, iże łobśluga każdego działa skłodo się z łosmi chopa, a to: celownicego, ładownicego, zómkowego, amunicyjnego, dwóch pomocników i dwóch wręcycieli. Jożech bół za celownicego, kiery musi sztudirować, jako sie nastawio kóntomierz, wiedzą?

— Ho, ho! — Władowski uśmiechnął się kącikami ust. — Widzę, że na punkcie obserwacyjnym nasza artyleria będzie miała z was prawdziwą pociechę. A więc nie zwlekajcie i wybierzcie sobie ludzi, bo...

Nie dokończył, gdyż w tejże chwili działo niemieckie rzygnęło jęklwym, urwanym grzmotem, a równocze-

śnie zachichotał w powietrzu wzmagający się jazgot le-  
cącego pocisku.

— Bu-buch!... buch!... — rozpekł się na kilka odłam-  
ków, ziemia zadygotała, a w uszy wepchał się skłębiony  
huk wybuchu.

— Wielewski, Toczyłowski, Zakrzewski, Chodkiewicz,  
za mną! — pisał plutonowy i pięciu powstańców, zabraw-  
szy ze sobą aparat telefoniczny oraz rozwijając kabel od  
pozycji skoczyło co sił ku topoli mającej im służyć za  
punkt obserwacyjny.

Ledwie do niej dopadli, plutonowy zakomenderował:

— Terazki włączyć na stróm i krzepko sie dzierżeć!..

Sam dając przykład wdrapał się szybko ku rozwidle-  
niu konarów i w lot jął podawać cele.

Niemiecka palba karabinowa zacichła, bowiem teraz  
zaczął się turniej obu działobitni. Huk straszliwy łomotał  
w czoło, w ciemię. Szarpane powietrze wyło, chaos wy-  
buchów zmieniał się w potworne ryki, w uszy obserw-  
ujących wbijały się jakby rozpalone kliny, lecz oni nie  
ustawiali w podawaniu celów i bez przerwy, ślepnącymi od  
potu oczyma, wyszukiwali na spłachciu pola widzenia bł-  
yski stalowych hełmów niemieckich i bez przerwy, zachryp-  
łym głosem, wywrzaskiwali podawane przez Mira ko-  
mendy. Huragan ognia i żelaza nie ustawał ani na chwilę.  
W tę nieustanną muzykę wplotły się teraz niemieckie ma-  
szynki i grzechot karabinów powstańczych. Suche, urwa-  
ne chichoty tętnią w przestrzeni, czasem spoczną, zaczerp-  
ną oddechu i znów się odzywają nudne, monotonne. Co  
parę minut padają pociski działowe, trafiając rozmaicie:  
dalej lub bliżej linii; często przenoszą, szybują nisko nad  
głowami, zgrzytają jak świder w żelazie i łamią gdzieś  
wiejskie drzewa — czasem zaś wtóruje im bolesny jęk.

Wielewski i Chodkiewicz razem z plutonowym sie-  
dzieli na topoli. Zakrzewski z Toczyłowskim mieli za za-

danie kontrolę lini telefonicznej. Chociaż wspólnie pracowali, jednak żaden z nich nie przemówił ani słowa. Ukradkiem jeno spoglądali na siebie, brawurując, kiedy trzeba było iść naprawić kabel, lecz złość w nich buzowała tak wielka, iż jeden drugiemu nie dał się w zamierzonym działaniu wyprzedzić. Wśród największego ognia biegli wzdłuż kabla za nic sobie ważąc własne życie.

Aż znienacka, jak na komendę, po stronie niemieckiej zacichł grzmot dział, przestały jazgotać maszynki i uczyniła się głucha cisza, bo linia powstańcza również zaniemiała.

— Kiż pierona! — warknął plutonowy, gdy mu Chodkiewicz zakomunikował, że działa powstańcze przerywają ogień.

Zlął z topoli, to samo nakazując zrobić kadetom, rozwalił się wygodnie na murawie i rzekł:

— Tóż to mi sie ale nie podoba. Można też bydzie skiż tego jakosi łostuda. Na, toć kiej mómy ździebko łobchu, trza łodpocywać.

Wyjął paczkę „rarytasów“, poczęstował nimi kadetów, zapalił wydmuchując przez nos przedziwnie skomplikowane spirale dymu.

— Zakrzewski z Tocyłowskim, jakóż? — spytał dwu przeciwników. — Ujednaliście sie?

Chłopcy jak na komendę potrząsnęli przecząco głowami, co widząc Mir rzekł z przyganą w głosie:

— Niyma dobrze, eli sie tak zawzinocie. Trza sie przeca ujednać.

Tocyłowski zdobył się na odwagę.

— Jeśli pan, panie plutonowy — zaczął — nawet rodzonemu bratu nie może przebaczyć krzywdy, to cóż dopiero mówić o nas.

Twardo ciosane oblicze Mira pociemniało łuną krwi. Ugiął się, niby przygnieciony jakimś nad siły ciężarem.

Potań ręką czoło, jak człowiek, usiłujący myśli swe w sylaby, słowa i zdania skleić. Lodowaty błysk zalśnił mu w oczach, gdy odparł:

Tóż to jest blank inksze, blank gorsze i niech się wóm nie zdo, iż to można zmiynić.

---

Była cisza, wielka południowa cisza, w czasie której gdzieś za frontem dzwony biły na klękanie i było wracało z pól na obiedni udój. Czyste niebo, niczym płaszczem błękitnym Panny Marii nakryło ziemię tak, że zamilkły na niej wszelkie swary, zgiełki i walki. Cisza była upojna, woniejąca oddechem przygrzanych słońcem pól, które dygotały miodną falą zapachów. W takiej chwili nawet najbardziej udręczone serca ludzkie biły spokojniej i najbardziej twardy człek oraz najbardziej skryty duch pragnie przed kimś, ktoby jego udrękę odczuł, wewnątrz swe otworzyć.

Podczas takiej to ciszy plutonowy Mir zaczął opowiadać o swej zwadzie z bratem. Najsampierw opowiadał, jak to w okresie przedplebiscytowym bojówki niemieckie najniewinniejszych Ślązaków mordowały całymi setkami. Jak całe tysiące bezbronnych ludzi jęczało w więzieniach. Jak walki narodowościowe zniszczyły spokój wielu rodzin i jak całymi miesiącami podburzano ojca przeciwko własnemu synowi, syna przeciw ojcu, brata przeciw bratu i siostrze.

Och, wylewano tu całe morze łez! Niemcy sypali milionami marek, które tylu słabszych spodliły, a gdzie nie mogli wskórać przekupstwem, tam groźbami, biciem i śmiercią przekonywali opornych.

A tu przecież wiadomo: Górny Śląsk musi należeć do Polski! Musi należeć, więc nie wolno się było ugiąć, gdy tu przecież o los wielu pokoleń chodziło, które by prze-

kleły kiedyś ojców, że je z lekkim sercem nadal w niewoli zostawili.

— Miołech brata — szeptał plutonowy urywanymi słowami pochyliwszy głowę. — Łociec dali go na szkoła do Łopolo... Tam ś niygo Germany wyłonacyli łodrodka, kiery sie terazki zaparł swej Macierzy, Polski. Jożech bół na wojnie, kiej sie tatulkowi zmarło. Przed śmiercią zapisali łojcowizna najstarszemu, a tyn diosecki gizd zarozki sie wzion baba, blank Germanka, kiera go do imentu na germańsko wiara przełonacóła...

Umilkł, oddychając głośno, jak po ciężkim biegu.

— Przyszółech do dóm — podjął po chwili — tóż widza, iże Alojz już nie jest moim bratkiym. Jużzaś sie kludzi w inkszo, germańsko stróna. Cózech miół cynić? Wydarzóło sie powstanie, toćzech na nie poszoł i kiej nóm Germany wciśli, dołech sie zapisać do bytomskiiego pułku. Kajzech nie bół, coch nie przeszoł... I we Kijowie i w cołkim łodwrocie, a za nieskorzy skludziółech sie na Gorny Ślazeck. Bółech w łochronie plebiszcytu...

Mir znów przerwał przebierając palcami po kolanie. Z wyjątkiem Toczyłowskiego, który z taką uwagą przyglądał się kolbie swego karabinu, aż mu żyły nabrzmiały na czole — chłopcy zawiśli oczyma na jego ustach.

— Zdarzóło sie — ciągnął Mir — iźech przyjachoł tukej, tóż widza, co mój pieroński bratek namowio ludzi ku Miymcom. Przyszółech ku niymu i padom: „Alojz, dej sie pozór, jakożes jest Polokiym“. A tyn gizd ze mnie sie chichro, za błozna mie robi, zaś kole wieczora pošli my do destyli, kaj mój bratek, rodzony bratek, na mnie Germanów namówiół. Tóż mi te soronie wyłonacyli takie lejty, iże sie jeszcze do terazka móm kaj szkrabać...

Zakrzewski podesunął się nieznacznie ku Toczyłowskiemu i, nie wiedzieć kiedy, dłonie ich się spotkały. Po zostali spostrzegli to, wiedząc, że pojednanie nastąpiło dlatego, iż obaj kadeci postąpili jak ludzie, którzy zrozumieli

wielką rzecz, których zbudzono z ciężkiego snu, a oni wyszli z nieznaney głębokości na światło.

Plutonowy z widocznym wysiłkiem cedził przez zęby:

-- A za nieskorzy, za nieskorzy przyszoł plebiszyt. Tyn... tyn mój diosecki bratek tela ludzi ocyganiół, iże wciepli głosy za Germanem... Były przeca takie chopy, kiere głosowały za Polską. Tych, skoro jeny przyszło powstanie, mój bratek kozoł przez orgeszów zakłupać. Toćżeście ich widzieli sam wele Żyrowej, ni?... Ale jo sie za to wszystko zemszcza! — głos zmienił się niby w warczenie psa, któremu kość wydarto i którego z budy wygnano. — Jo sie zemszcza! — dokończył i naraz podniósł głowę, bo w przyległym życie rozległy się jakieś podejrżane szmery.

Chwilę słuchał, lecz wtem ze wszystkich stron posypały się kule, a równocześnie z tyłu linii powstańczej zamajaczyły postacie w zielonkawych mundurach i ciężkich stalowych hełmach.

W sekundę później gruchnął wystrzał jeden, drugi, trzeci; potem, na lewym skrzydle, zajazgotała gdzieś rozpaczliwie maszynka, jakby poganiając ludzi bez czapek, bez broni, biegnących na całej linii z okrzykiem:

— Germany wdarli sie na zadek!

Jakoż za pierzchającymi ukazał się wróg. Szedł gęstą ławą bez żadnych przeszkód. Parł z siłą, pędząc przed sobą oszalałe w panice całe plutony, kompanie, zdążające do szarzejącej na liliowym niebie zbawczej wstęgi lasu. Wiatr niósł ponad ziemią rozpaczliwe, gromkie nawoływania zdemoralizowanej, zdezorientowanej bandy, z której co chwila ktoś odpryskiwał, podnosząc ramiona i padając, a potem już nie wstając.

— Stójcie, pierony, stójcie! — wrzasnął Mir, widząc że jego pluton też się poczyną mieszać, miast stawić czoło napierającemu nieprzyjacielowi.

— Chopki, dzierżcie sie tukej! — wskazał kadetom topolę i pognął do plutonu.

Nie było się co namyślać. Chłopcy rozpoczęli szybko

strzelanie, bo już z pobliskich kęp wyłonili się napastnicy: jedni w cywilnych ubraniach, drudzy w mundurach — a wszyscy w stalowych hełmach. Tworzą dobry cel, więc kadeci gruchnęli najpierw salwą, po której kilku z biegnących potknęło się i już nie wstało. Napastnicy, zdumieni nieoczekiwanym oporem, przypadli do ziemi szukając rozpaczliwie ochrony przed strzałami we wklęsłościach terenu.

Chwile mijały. Kadeci nie ustępowali, choć rozgrzane lufy piekły im dłonie. Nabojów dużo nie było, więc każdy oszczędzał i długo wybierał cel, mierząc spokojnie, zanim zdecydował się pociągnąć za spust.

Aż nagle — dźwięk w próżnię bijącej iglicy. Trzaskowi zamku nie odpowiada huk wystrzału, bowiem — brakło naboji.

— Koledzy, na bagnety! — krzyknął Chodkiewicz.

— Na bagnety! — powtórzyła trójka straceńców, zapora żywych ciał prac na nieprzyjaciela, który zdetonował się, nie wie, co począć.

A kadeci biegą, biegą i zapewne brzmia im w uszach słowa, tak jeszcze niedawno recytowane przez Chodkiewicza:

— „Dla dzielnego rycerstwa oto otworzyste pole nieśmiertelnej sławy. Nie myślę, ani się spodziewam, aby tu byli bojaźliwi; konieczność niech stanie za męstwo, odważnych niechaj umocni miłość ku Bogu i Ojczyźnie“...

— Dzierżcie sie, chłopki, dzierżcie! — wrzeszczy z tyłu plutonowy nadbiegając z odsieczą.

Hej, jakże tu tyłu napastników w miejscu udzielić! Hej, łatwo jest wiać niewstrzymanym pędem, biec w tył, byle dalej odbić od nieprzyjaciela — ale jakże ciężko, jak trudno utrzymać ciżbę na ostrzach bagnatów!

— Z wypadem dwoma — pchnij! — skomenderował znów Chodkiewicz, po czym razem z trójką kolegów wparł się w niemiecką gęstwę, jak małe dziecię w rozkrzyczany, jarmarczny tłum, który, zdawało się, że jak

kleszczami ściśnie wątle ramiona, zdusi i rozdepcze pacholęta.

— A grzoć pierońskich mamlasów! — leci hasło bojowe ocuconych z paniki powstańców, na których widok Niemcy poczynają się chwiać.

— Jak babcię drapcie!... — pisnął uradowany Zakrzewski widząc pierzchających teraz wrogów. — Karolinko, dalibóg, ty dziś wkroczysz do Gogolinka, jak tak dalej...

Już nie dokończył, bo mu jakiś napastnik zabiegł drogę i z całej siły wepchnął bagniet w brzuch.

— Jezu!... — jęknął ranny osuwając się bezwładnie na murawę.

Gdy to zoczył Toczyłowski, dopadłszy Szwaba z poza ramienia grzmotnął go kolbą w czaszkę, że aż mózg białymi lepkimi plamami bryznął na wsze strony.

Teraz lecą: Żytkiewicz, Kasper, Czyżyk, Lityński, lecą za Chodkiewiczem, jakby skrzydła mieli u ramion, bo popędza ich głos przodującego kolegi, głos do grzmotu podobny:

— Naprzód! naprzód! do zwycięstwa!

Leci plutonowy Mir, wiodąc Ślżaków, śpieszących za widnym z daleka szarobłękitnym wodzem, wpatrzonym w herbowy znak swego naddziada.

Właśnie niebo poczynąło czerwienieć łuną zachodu, gdy Chodkiewicz rozłożył ręce, skurczył się, wypuścił z rąk karabin, chwycił się wysoko za pierś, zachwiał się parę razy, jakby dla utrzymania równowagi, i padł na wznak.

Przybiegł doń Toczyłowski.

— Chodkiewicz, wstawaj! Boże święty, Chodkiewicz!

A ten leżał, jak niemowlę w kołysce, z przyciśniętymi do policzków pięściami, z podkurczonymi nogami, z półotwartymi ustami, nieomkniętymi, przymglonymi oczyma i osmoloną twarzą. Powyżej pasa, pod pachą, czerniała wilgotna, ciepła, rozszerzająca się plama.

Toczyłowskiemu zakręciło się w głowie. Klęczał z czołem opartym na ramieniu kolegi, obcierał ręce umazane krwią mamrocząc głucho:

— Chodkiewicz... Chodkiewicz...

---

Plutonowy Mir dopadł z powstańcami do zabudowań jakiegoś folwarku i widząc, że Niemcy próbują się tam ukryć, nakazał prac w nich granatami.

Wkręcono zapalniki, zachrobotały metaliczne szelesty, zażęgły wewnątrz spłonki i każdy odczuł, że śmierć w dłoni dzierży, wytrzymuje ją do ostatniej sekundy, a teraz, teraz...

Rozwalił się potworny ryk, wybuchy kilkunastu granatów szarpnęły do żywego niebem i ziemią, a jeszcze nie opadła gruba warstwa kurzawy, gdy druga salwa pocisków rozkłębiła się na folwarku.

— Dyc podziwiają sie, panie plutonowy! — krzyknął Mitas. — Przeca te gizdy w reża uciekają!

Spojrzeli. Bez rozkazu rzucili się w pogoń, przedzielali przez okryte białym kwieciami głogu i cierni krze porastające miedze.

W pewnej chwili plutonowy dostrzegł wśród zboża lśnienie hełmu. Kilku susami tam dopadł, widząc nareszcie tego, kogo cały czas powstania szukał.

— Alojz! diosecki łodrodku! — począł nań wołać. — Tóż terazki bydzie twój, lebo mój kóniec!

I natychmiast starł się z bratem próbując przebić go bagnetem. Ale tamten, wyższy i silniejszy, nie dawał się. Wnet wytrącił karabin z rąk młodszego brata, lecz przy tym stracił i swój karabin.

Zaczęli się tedy barować, dusić, gnieść i szamotać. Rękami sięgali gardeł albo prali się pięściami po skroniach, lecz siły ich, jak dotąd, były równe; walka przeciągała się nie wróżąc rychłego końca.

I nagle plutonowy w kieszeni brata wymacał rewol-

wer. Począł doń skrycie zmierzać, chcąc tenże wyszarpnąć z zanadrza, gdy poczuł, że go ktoś szarpie, a wreszcie przyciął mu język straszliwy, w głowę wymierzony cios. Był on tak bolesny, że plutonowy zawył z bólu, lecz równocześnie ujął w dłoń kolbę rewolweru i gruchnął zeń na oślep do brata.

— Jezus!... — trysnął okropny krzyk i opadł.

Plutonowego przeszły promienne ognie, czuje, że go ktoś tłucze, depce po nim, kopie w brzuch, aż przejmujący ból przeszływa wnętrzości, wwierca się niby świder w trzewia, ale po chwili głuży to wszystko jedna myśl:

— Na, przecach gizardowi nie popuśció! Przecach go musioł zaklupać!...

---

Od zachodu nadciągała zwolna pomroka, a Toczyłowski jeszcze trwał przy zwłokach Chodkiewicza. Była znów cisza, ciężka jak sama śmierć, w której pola i las szarzejący na widnokręgu zdawały się otaczać wielkim kołem, jakby na pożegnanie, doczesne szczątki orlątka z hetmańskiego gniazda, ostatniego potomka krwi rycerskiej Chodkiewiczów.

I oto tę ciszę roztrącił znenacka tętent kopyt, po czym na zmordowanym koniu przegalopował obok Toczyłowskiego powstaniec bez czapki, z gołą szablą w dłoni. Staął w strzemionach i krzyknął, ile miał siły w płucach:

— Odwrot! Odwrot!

Ledwie, zatoczywszy koniem, zniknął w tumanie kurzu, a tu już skądś, jak duchy, biegli ludzie chyłkiem, w pojedynkę coraz przypadając do ziemi. Popędzał ich znów rozszalały ogień maszynek, miotających krople dżdżu śmierci oraz niedaleki bas armat znaczących na zachodzącym niebie bryzgi płomieni.

Teraz dopiero Toczyłowski ocknął się z odrętwienia. Był sam, bo kto miał pierzchnąć, to już pierzchnął. Obej-

rzawszy się spostrzegł na dotychczasowej linii powstańczej gromadę ludzi, przybranych w czapki burszowskie. Począł biec przed siebie, czując, że mu nogi ciężą jak z ołowiu. Potykał się na kretowiskach, zapadał po pas w zbożu, ścisnął kurczowo w rękach drzewce karabinu i — biegł, jakby miał skrzydła u ramion.

W pobliżu niedawnego punktu obserwacyjnego zawadził lufą karabinu o krzak głogu i straciwszy równowagę, runął obok leżącego nieruchomo na miedzy ciała. Ciężko przeżywając wyczerpanie patrzył bezmyślnie na purpurowe jak ogień niebo, gdy wtem do jego uszu dobiegł słabiutki szept:

— To - czy - łow - ski...

Prawie bezwładny ze zmęczenia smętnym wzrokiem spojrzał tam, skąd płynął szept i zoczył Zakrzewskiego, który, krzywiąc głowę jak ulicznik, leżał pod krzakiem. Mimo że z rany brzucha wypełzły mu wnętrzności, jeszcze brawurował:

— Ca - łys? Po - bie - la - ny pom - ni - ku z grobu sa - mo - bój - cy...

— Cały jestem — odmruknął Toczyłowski iście grobowym głosem.

— A c o z Ka - ro - lin - ką?...

— Zginął — padła jękliwa, na wpół z płaczem odpowiedź.

— Zgi - nął?... — zdziwił się ranny. — Więc nie poszła Ka - ro - lin - ka do Go - go - lin - ka?... O, pić!... — wychrypiał przez spiekłe usta.

— Czekaj! — ożywił się Toczyłowski. — Polecę po wodę. Ale zawahał się, spojrzawszy na ranę kolegi, na wyprute trzewia, nad którymi krążyły muchy — czy aby tobie woda nie zaszkodzi?

Zakrzewski spróbował się uśmiechnąć.

— Mnie... mnie... — jękał — mnie już nic nie zaszkodzi...

Chwilę milczał, ale widząc, że Toczyłowski odchodzi, zaczął szeptać błagalnym głosem:

— Nie od - chodź, pro - szę cię... nie od - chodź...

Przerwał, po czym znów zachrypiał:

— Słu - chaj ja już pew - nie do Kor - pu - su nie wró - cę...

— E, głupstwa gadasz. Wyleczysz się w szpitalu.

— Nie, nie... ja ci ty - le ra - zy do - ku - czy - łem, prze - bacz mi, prze - bacz... A tyś prze - cie za - trząśł te - go Szwa - ba, co mi szty - kiem ban - dzioch prze - bódł...

Istotnie. Opodał w stłamszonym zbożu leżał, rozłożwszy ramiona, zabity Niemiec z roztrzaskaną czaszką.

Toczyłowski załkał na cały głos.

— To ty mi przebacz — mówił przez łzy — bo przecież... przecież ja cię zawsze prowokowałem do kłótni.

Ranny znów zajęczał:

— Pić!... pić!...

Nagle dźwignął się z nadludzkim wysiłkiem na łokciach i pisnął:

— O ra!... Niem!... Niem!...

Jakoż w zbożu rozległ się tupot i chrzęst pochew od bagnatów. Toczyłowski chciał się zerwać do ucieczki, lecz wstrzymał go błagalny szept kolegi:

— Nie... nie od - chodź... Daj mi cho - ciał gra - nat...

Prawda, granaty!

Pośród mroku zaszarzało kilkanaście sylwetek, rozmawiających głośno po niemiecku i przechwalających się z odniesionego zwycięstwa.

Toczyłowski dłużej się nie namyślał. Wyjął z chlebaka trzy granaty, jeden wręczył Zakrzewskiemu, a pozostałe odbezpieczył i czekał:

Gdy już Niemcy byli blisko, zaśmiał się złowieszczo i, zamachnąwszy się regulaminowo, cisnął granat w niczego nie spodziewający się oddział.

Krótki, zwarty grzmot i jęki, a potem przekleństwa. Potem gwałtowny, nieregularny ogień z karabinów, a potem...

— Och, trafili mnie!... — krzyknął Toczyłowski.

— Vorwärts! Vorwärts!... — rozlega się w ciemności głos niemieckiego dowódcy, a w ślad za nim tupot kilkunastu par nóg.

— Ży... ży - wych nas nie weź - mie - cie.. — szepnął bezgłośnie Zakrzewski wyrывая zapalnik z granatu...

— — — — —

Po chwili wśród walających się szczątków niktby nie rozróżnił ciał niemieckich najeźdźców, ani bohater-skich, pogodzonych nareszcie ze sobą chłopiąt - druhów orłęcia z hetmańskiego gniazda.

K O N I E C.

### Objaśnienia wyrażeń gwarowych i obcych.

Najbardziej charakterystyczną cechą gwary górnośląskiej są: staropolskie aorysty (zamiast zrobiłem — zrobił) oraz zakończenia rzeczowników i czasowników w pierwszej osobie liczby pojedynczej na samogłoskę „a” tam, gdzie powinna być samogłoska „ę” (zamiast oborę — obora, całuję — całują). Dialekt środkowy tej gwary, jakim posługuje się ludność obwodu przemysłowego (około Katowic, Chorzowa i Tarnowskich Gór), odznacza się jeszcze tym, że w czasie przeszłym liczby pojedynczej osoby trzeciej zamiast samogłosek „y” oraz „i” występują samogłoski „ó” i „ió” (np. bół, zamiast był; zrobiół, zamiast zrobił), oraz tym, że przed samogłoskami „o” i „u” na początku wyrazu jest krótkie u, które tu oznaczymy u. Wyjątek stanowią zaimki: on, a, o, oni, e, które się wymawia: ón, a, o, óni, e.

Angrif (niem.) — atak.  
Balić — gdzie zaś!  
Borok — biedak.  
Blank — całkiem.  
Bezma — prawie.  
Bratek — brat.  
Berchmon — górnik.  
Berchmoński — górniczy.  
Bótech — byłem  
Barzo — bardzo.

Błozny robić — kpić.  
Cej co łobiecować — dużo  
obiecywać.  
Chałpa — chata.  
Chybiało — brakowało.  
Czamu — czemu.  
Czakać — czekać.  
Cuja — czuję.  
Cygareta — papieros.

Cygaństwo — kłamstwo.  
Cesta — droga.  
Chachar — nicpoń.  
Ciepać się — rzucać się.  
Cosi kajsi — coś gdzieś.  
Darmo-larmo — trudno.  
Dulceć — trwać cierpliwie.  
Dyć — więc.  
Dzierżec — trzymać.  
Dać się spodobać — znieść,  
    ścierpieć.  
Diosecki — diabelski.  
Dać pedzieć — oznajmić.  
Dycki — zawsze.  
Dać się pozór — uważać.  
Dzisiok — dziś.  
Dumać — myśleć.  
Do dóm — do domu.  
Dziwać się — patrzeć.  
Dziepiyro — dopiero.  
Dwacat — dwadzieścia.  
Deutschland über alles —  
    Niemcy ponad wszystko.  
Destyla — karczma.  
Eli — jeźli.  
Eiserner Kreuz — najwyż-  
    sze odznaczenia żołnier-  
    skie w Niemczech.  
Faronowy — siarczysty.  
Fusartilerie — artyleria  
    piesza.  
Francik — Franuś.  
Gorko — gorąco.  
Gwer — karabin.  
Gańba — hańba.  
Gruba — kopalnia.  
Gizd — gałgan.  
Galoty — spodnie.  
Graba — dłoń.  
Herr Jee — Panie Jezu.  
Hałda — usypisko z żużla.  
Handgranatki — granaty  
    ręczne.

Iść do pola — iść na front.  
Inakszy — inny.  
Ja, buić — tak, rzeczywiś-  
    cie.  
Jaków — smutek.  
Jeny — tylko.  
Jużzaś — znowu, czy już.  
Jordan — Górnolazacy  
    tak dawniej nazywali  
    rzekę Brynicę, oddzie-  
    lającą Kongresówkę od  
    G. Śląska.  
Jargać się — stawiać się.  
Kabot — kapota.  
Kust — pożywienie.  
Księżoszek — ksiądz.  
Kiebychmy — gdybyśmy.  
Kryjom lejom — bicie ki-  
    jem.  
Kiery, a, e — który, a, e.  
Kiej — gdy, jak.  
Kaj — gdzie.  
Karlus — zuch.  
Kąsek — kawałek.  
Kromie — prócz.  
Klapować — pasować.  
Koleks — kolega.  
Kataćtam — gdzie tam.  
Krzepa — siła.  
Karlik — Karolek.  
Kłóć — słoma wymłócona.  
Loce — leci.  
Luft — powietrze.  
Lejty — lanie, bicie.  
Lebo — albo, lub.  
Marcha — ścierwo.  
Myżechmy — myśmy.  
Mi sie zdo — zdaje mi się.  
Mamlas — niedołęga.  
Mocka — dużo.  
Maszingwery — karabi-  
    ny maszynowe.  
Myni — mniej.

Marzanna — słowiańska bogini śmierci, górnośl. obrzęd przedwielkanocny.

Nagrować — lekceważyć.

Naskwol — umyślnie, na złość.

Nie przybiyrej się do łebów — nie martwić się.

Nie lza — nie wolno.

Nowoć — niwa, połać.

Ni waja za złe — nie gniewajcie się, panie.

Niyma dobrze — źle.

Oberst — pułkownik.

Orgesz — Organizacja Eschericha, skrytobójcza org. niem.

Przebocą — wybaczyć, panowie.

Po gibku — prędko.

Psiniec — nic, głupstwo.

Przeca — przecież.

Praczka — bitka.

Prawie godać — mówić prawdę, słusznie.

Poniykiery — niejeden.

Przyszoł — przyszedł.

Pedzieć — powiedzieć.

Patróny — naboje.

Przedsię — naprzód.

Pampón — wieśniak w znac. pogardl.

Przez nochyby — niechybnie.

Pukiel — garb.

Pobudynek — zabudowanie.

Przajać — sprzyjać, miłować.

Przysuć — przysypać.

Padoł — powiedział.

Rarytasy — popul. papierosy górnośl.

Richtig — właśnie.

Regiment — pułk.

Rostomajty — rozmaity, różny.

Rusy — Rosjanie.

Stróm — drzewo (rosnące).

Sztudirować — uczyć się.

Somżeście — czy jesteście?

Skludzić — sprowadzić.

Śpiechać się — śpieszyć się.

Szkryflać — kreślić.

Szkraść się — skrobać się.

Skiz czego — dłaczego.

Szwarny — udały, piękny. Smolić na wszystko i zbyte — nic sobie z niczego nie robić.

Swacyna — podwieczorek.

Sztacjon — dworzec.

Styknać — starczyć.

Słanikać się — tułać się.

Szychta — dniówka.

Skóli tego — z tego powodu.

Sztostrup — członek niem. bojówki.

Spatki — z powrotem.

Soroń — frant.

Spokopić się — opamiętać się.

Stomilioński — wierutny.

Tela — tyle.

Toć — właśnie.

Tóz — otóż, lecz.

Terazki — teraz.

Tukej — tu.

Tuleja — niedojda.

Trza — trzeba.  
Transza — okop, ziemianka.  
Trommel-feuer — ogień huraganowy.  
Uostuda — nieprzyjemność.  
Uujednać się — pogodzić się.  
Uopole — Opole.  
Uotrząsek — wszarz.  
Uozprowiać — opowiadać.  
Wiela — wiele.  
Wynonacyć — zrobić.  
Wsuć — wsypać.  
Wlazować — włązić.  
Wadzić się — kłócić się.  
Wymowa — dożywocie.  
Wyciepnąć — wyrzucić.

Wydziwiać — burzyć.  
Wysiknąć — wyciec.  
Wacha — straż.  
Wydolić — wytrzymać, dać rady.  
Wejrzyć — spojrzeć.  
Węborek — cebrzyk.  
Vorwärts — naprzód.  
Zarozki — zaraz.  
Zdziebko łobchu — trochę spoczynku.  
Zakłupać — zatłuc.  
Zadek — tył.  
Za nieskory — niebawem.  
Zmierzło się — obrzydło.  
Znieobacka — nagle.  
Zakutać do imentu — po bić do szczętu.  
Zdziebko — odrobina.

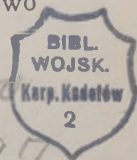
Na zakończenie uważam za stosowne przytoczyć zdanie słynnego badacza gwar ludowych prof. L. Malinowskiego, który w swych „Zarysach życia ludowego na Śląsku“ tak się wyraził o gwarze górnośląskiej: „Lud śląski mówi równie czysto, jak i w innych okolicach naszego etnograficznego obszaru, i obce wtręty nie są tu liczniejsze, aniżeli w słowniku ogólnym“.

---

## ŹRÓDŁA.

Prócz osobistych wspomnień, autor zaczerpnął sporo danych z następujących źródeł:

- 1) Historia wojen i wojskowości w Polsce — Mariana Kukieła;
- 2) Obrazy z dziejów wojska polskiego — Wacława Tokarza;
- 3) Pamiętnik z wojny chocimskiej — Jakuba Sobieskiego;
- 4) Meldunki Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych;
- 5) Pamiętnik Zygmunta Lityńskiego pt. „Kadeci Wacowskiego“;
- 6) O wolność Śląska, fragmenty wspomnień — dra Michała Borelowskiego-Grażynskiego;
- 7) Legenda murmańska — ppłk. dypl. Z. Chrzastowskiego;
- 8) Oberschlesien, nie powieść — Zbigniewa Zaniewickiego;
- 9) Legendy Wawrzyna Hajdy w zbiorze pt. „Kwiaty na łąkach“;
- 10) „Powstaniec“, organ N. K. W. P. — początkowo grupy „Wschód“.





9696/n